



Fot. W. Biliński

WIESŁAW BEK

## NARODZINY „CEZARYZMU”?

Jeden z francuskich publicystów obliczył niedawno, że z szesnastu referendum, jakie zna historia tego kraju, sześć zorganizował Napoleon Bonaparte, drugie sześć — de Gaulle. Zbieżność tych nazwisk nie jest wcale przypadkowa. Aż nadto widoczne są zabiegi de Gaulle'a o umocnienie prezydenckiej władzy, by trzeba to udowodnić przykładami. Za-

warcie pokoju w Evian dało ku temu świetną okazję... By to pozornie tylko paradoksalnie brzmiące zdanie rozszyfrować — musimy wrócić na chwilę do wspomnienia dwoistości sił politycznych, które w 1958 roku wynosiły prezydenta de Gaulle. Jedną z nich, ta która później obróciła się przeciwko generalowi, liczyła na utrzymanie polityki kolonialnej, druga — była

bardziej dalekowzroczna: z doświadczeniem de Gaulle'a do władzy wiązała nadzieje na rządy silnej ręki i godziwe warunki kapitulacji w Algierii.

Dla tej siły, reprezentowanej przez wielkie monopole, perspektywa wydobywania z saharijskiej pustyni 30 milionów ton ropy w roku 1965 była znacznie ważniejsza niż posiadłości ziemskie w Algierii i fakt,

że co piąty Francuz w tym zamorskim kraju bezpośrednio wiąże swój byt z istnieniem systemu kolonialnego. V Republika miała spełnić nadzieje, których rozpadające się raz po raz rządy poprzedniego okresu, nie mogły zapewnić: umocnienie pozycji wielkiego kapitału.

Ale — jak to często w

Dalszy ciąg na str. 2

# odqtośy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 20. V. 62 r.

Nr 20 (220)

Cena 1 zł

MIECZYSLAW GÓRSKI

## MATERIAŁY do portretu...

Pracę Mieczysława Górskiego wyjmujemy z tomu maszynopisów znajdujących się aktualnie na warsztacie Wydawnictwa Łódzkiego. Tom ten, to pokłosie naszego zeszłorocznego konkursu, pt. „Opisanie Łodzi”. Drukując „Materiały do portretu”, napisane poza konkursem, pragniemy z przyjemnością zasignalizować, że sprawa ukazania się w wydaniu książkowym „Opisania Łodzi” jest zaawansowana.

Zima jest jeszcze ciemno, latem szarówka. Ponad 3000 ludzi z najdalszych krańców miasta śpieszy do „Króla”. Wypychają się pośpiesznie z rozciągniętych jak guma przepelnionych tramwajów, autobusów, jadą rowerami. Jest kilkanaście minut po godzinie piątej. W tej chwili ważny jest tylko pośpiech. „Król” domaga się punktualności. O godzinie 5.30 rusza pierwsza zmiana. — Ryk syreny i potworny jazgot maszyn spędzają ludziom resztki snu z powiek. — O tej porze przez bramy Zakładów im. Marchlewskiego przewija się blisko 5000 ludzi. Blisko 2000 tych, którzy ukończyli właśnie pracę na nocnej zmia-

przejął bank. Po ostatniej wojnie zakłady otrzymały imię robotniczego działacza.

Nazwa „Król” pozostała. Tylko teraz ludzie mówią „Król” myślą o Zakładach — nie o człowieku. O przedsiębiorstwach, w których pracuje 120 tysięcy wrzecion, o blisko 13

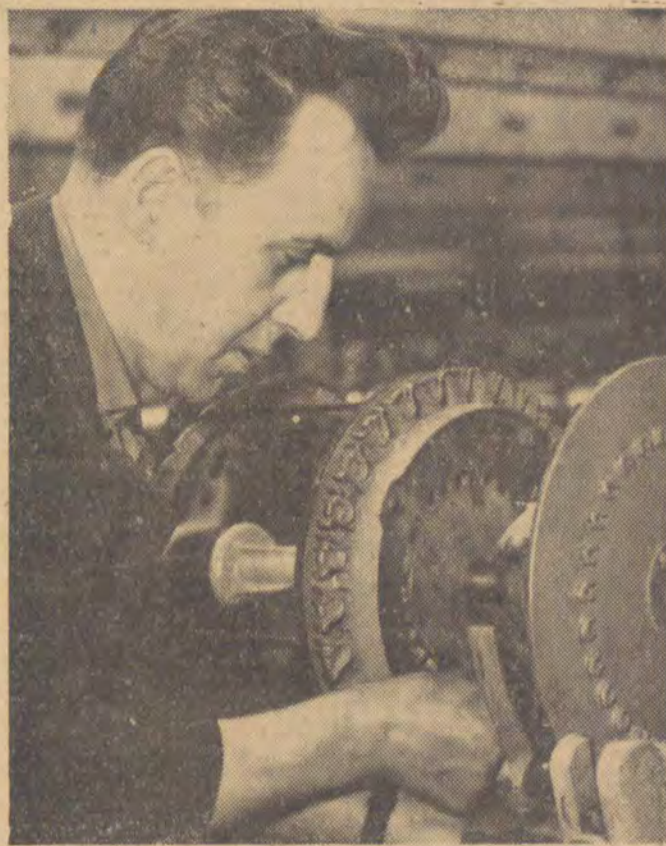
milionach kilogramów przerabianej tu przędzy, o 30 milionach metrów produkowanych rocznie tkanin surowych i około 57 milionach metrów, przechodzących rocznie przez wykończalnię.

Roczną produkcją tkanin „Marchlewskiego” można by wiele razy opasać kulę ziemską. Produkowane tu tkaniny wędrują do kilkudziesięciu krajów wszystkich kontynentów.

Srednia płaca w Zakładach Marchlewskiego wyższa jest od średniej płacy w całym przemyśle bawelnianym. Srednia płaca pracowników grupy przemysłowej wynosi 1750 złotych. Najlepsi pracujący na nowoczesnych „saurerach” bez trudu zarabiają 3 tysiące. To dobra fabryka, ludzie chcą tu pracować. Ale o pracę w Zakładach jest trudno. Załoga jest właściwie ustabilizowana. Kto raz zaczął tu pracować stara się zostać na zawsze. Ponad 2500 robotników pracuje w zakładach powyżej 10 lat. Ponad 2000 dłużej niż 5 lat. Staż pracy poniżej jednego roku posiada około 500 pracowników, a więc zaledwie 1/16 zatrudnionych.

Dziesięć lat temu pracowało

Dalszy ciąg na str. 4 i 5



Fot. J. Neugebauer

JANUSZ ROSZKO

## Robinson na Plantach

I znowu drzewa na Plantach zielone. Znowu krakowianie w niedzielne przedpołudnie wystrojeni galowo paradują wokół miasta, demonstrując swój przyrost naturalny w nowoczesnych wózkach. Jest tak jakoś familiarnie, jakby Kraków liczył nie pół miliona, tylko pół miliona mieszkańców.

Na Rynku sprzedają kwiatki i dolary. Pierwsze oficjalnie, drugie po cichu. W dzień archeologów, w nocy chuliganów. W klubie studentów „Pod Jaszczurami” siedzą piękne kociaki i słuchają grającej szafy. Ba, cały Kraków chodzi oglądać to cudo. Wrzuca się monetę i to-to samo gra.

W dziedzinie automatów

rozrywkowych jesteśmy jeszcze kopcuszkami Europy. Ale nasze kociaki — mój Łódzki Redaktorze — nie są kopcuszkami. Dla nich w tymże studentkim klubie poważni panowie udają studentów, a studenci udają mecenasów i inżynierów.

Pod arkadami Sukiennic ustawiają już kawiarniane stoliki. Dziesięć lat temu, cieszyliby się emeryci i „bezeci”. Ci ostatni, w wylewnych lisurach, sztylpach i innych atrybutach świadczących o hektarach niegdyś posiadanych przesiadywali tu najtłumniej. Gdyby podsumować utracone przez nich arealy gruntów na Wschodzie — granica przedwrześniowej Polski musiałaby się wspierać co najmniej na Uralu.

Nie ma już tych osobliwych staruszków w lisurach. W kawiarniach jest inna, nowa publiczność. Półmilionowy Kraków wypija teraz morze kawy. Ale nie tylko. Wódki też.

Na razie jednak trzeba powiedzieć o tym, że krakowianie bardzo kochają swoje miasto. Dyskutują o każdej przebudowie uliczki, o każdej starej kamieniczce, wielką batalię toczyli o Rynek, który ma ulec przebudowie. W sumie to piękna cecha. A także łoża na odbudowę i konserwację zabytków swego miasta. W formie 1-złotowej dopłaty do butelki wódki lub wina.

List z Krakowa

Dokończenie na str. 2



# Robinson na Plantach

Dokończenie  
ze str. 1

się do Zakopanego — i po Zakopanem. Naglej śmierci udało mi się uniknąć dzięki pospłechowi w zmieniającym lokalni gastronomiczno-rozrywkowych. W pół godziny po moim wyjściu z ultranowoczesnej restauracji — kawiarni „Wierchy” spadł z sufitu na stół żelazny element wagi ok. 50 kg. Stół w drzączkach.

Mit o solidności zakopiańskich inwestycji też się rozleciał. Owe wypaczone piękności w postaci dworca autobusowego (tego, który się sławnie przed rokiem zawalił) barów samobsługowych i reprezentacyjnych lokali, salonów „Motobyty” i innego zbytku i zbytku żalony przedstawiają dziś widok. Kolory położone na mokry tynk zaczynają oblaść obkurknie. Wszystkie oryginalne włoskie ekspresy do kawy, które sprowadzono na FIS — zepsute. Ramy okienne wylażą z futryn i trzeba chyba będzie wiele nowych restauracji — odrestaurować.

Skoż już jesteśmy przy lokalach — trzeba dodać, że na witrach sklepowych widać jeszcze luksusowe „Martini Dry”, „Martell”, „Martineau” i „Golois”. Kokiety widokiem, odstrasza ją ceną. W budce przy Krup-



ówkach włoski automat na oczach tłumów produkuje rurki z bitą śmietaną. Nie najlepsze to, ale wszyscy kupują — wiadomo, z włoskiego automatu.

Wszyscy się tu cieszą, że burmistrz Insbrucka zachwycił się naszą perłą Tatr i rzekł nawet, że jego miasto nie stać na takie inwestycje, jakie my poczyniliśmy na FIS. Ba, kogo stać na to, żeby płacić podwójnie, za to tylko, by rzecz ukończono w terminie. Staba pociecha, że FIS się uda. Bo na Krupówkach „B” rozlał się już nawierzchnia. Nic dziwnego — układano ją podczas mrozu. Ale burmistrz z Insbrucka czekał z zachwytem. A skoro się tak wszystko udało — Zakopane myśli teraz o zorganizowaniu Olimpiady Olimpiady Matematycznej. Dla gruntownego obliczenia, ileśmy na tym FIS-ie stracili.

A co zyskaliśmy? Kilka budynków w Zakopanem, które trzeba na gwałt remontować.

Wracajmy więc do Krakowa. Dzieją się tu rzeczy wręcz niesłychane. Prasa donosiła, że Krakowskie Zakłady Gastronomiczne „Zachód” zajęły ostatnio I miejsce w skali krajowej. Jest to jak dotąd jedyny przykład na realne działanie sił metafizycznych w naszym systemie. Dwa razy zostaliśmy w tychże zakładach otruty koźlem. Konkurs gastronomiczny powinien zatem zyskać nowe, adekwatne miano. Mianowicie „Ogólnopolskie Współzawodnictwo Zakładów Gastronomicznych im. Lukrecji Borgii”. Jeśli zostanie przyjęty przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego zastrzegam, że premi za pomysł nie przyjmuję pod żadnym pozorem w naturze.

Zresztą nie mówmy o gastronomii. Wiosna. Studenci najstarszej polskiej Akademii Jagiellońskiej urządzają Juwenalia. Chcieli biedni zacząć nawiązać do średniowie-

cznych tradycji, ale kiedy się dowiedzieli, że jedynym rdzennie krakowskim obyczajem studenckim było zrzucanie kukły Judasza z Wieży Mariackiej — zrezygnowali z naśladowstwa. Zbyt wielu kandydatów wysunęło im do zrzucenia z wieży.

A więc będzie w Juwenalia uroczyste przekazanie kluczy od miasta w ręce żaków, konkurs malarstwa na płócie, skoki przez skórę (zdartą z przelętnego obywatela przez handel uspołeczniony), koncerty jazzowe i konkurs na najlepszy strój Juwenaliów. Studencki Kraków ma co prawda Akademię Górniczą — ale nie jest ona kopalnią najlepszych pomysłów.

Za to górnicy potrzebni są miastu do stemplowania walcących się domów na starym mieście. Tymczasem Prezydium MRN myśli o wybudowaniu nowego gmachu, gdyż obecna siedziba mu nie wystarcza. Był konkurs architektoniczny, wielka burza nad brukiem i krzyki zwaśnionych. Nie wiem, czy Krakowowi potrzebny jest najbardziej nowy pałac dla urzędników. Zwłaszcza, że przechodząc ulicą może człowiek zlecieć jakaś cegła na łeb ze starej kamienicy. I cóż komu wtedy po nowej siedzibie MRN? Czy w nowym budynku to szlachetne ciało będzie lepiej rozumować i władać?

A podczas Juwenaliów odbędzie się na Rynku wybór „Najmilszej studentki Krakowa” (pardon, już był — zanim enuncjacja zdążyła ujrzeć światło dzienne). Będzie wyścig w workach. Będą kwitły kasztany. Będą wycieczki uwieczniać swoje podpisy na murach, wierzając niezachwianie, że stare krakowskie mury są wiecznотrwale. Niech się cieszą, nieświadomi. Chociaż jest miliard złotych na remont starego śródmieścia — prace idą bardzo żółtawo. Na razie jeszcze opracowuje się plany, bo Kraków został tym miliardem z państwowej kasy zaskoczony. Trzeba teraz na gwałt robić dopiero plan konserwatorski, bo zane oje-krakuszy zapomnieli o czymś takim, a tylko spierały się, czy też wiezy ratuszowej nie przenieść na plac Wiosny Ludów, gdzie mieści się obecna siedziba MRN. Wiedza zostanie na miejscu. Ojcowie miasta też.

Pączki na Plantach — jest to jedyna pozytywna rzecz w tym Krakowie. Bo pączki



w Jamie Michalika — takie sobie. Mimo wszystko zapraszam Pana na kawę po meksykańsku. Sam ciekaw jestem, co to takiego, bo nigdy nie piłem, ale krakowskie kawiarnie reklamują już coś 8 rodzajów kawy.

A więc wiosna, Juwenalia, paki, kawa — oto z czego składa się Kraków. A ja, Panie Redaktorze Łódzki, chodzę po Plantach w charakterze Robinsona. W tym miejscu wielu moich antagonyistów może zaprotestować, bowiem twierdzą, że nie mam w ogóle charakteru, więc nie mogę chodzić w charakterze. Ale nie dostrzegam ich, bo czuję się jak na bezludnej wyspie i szukam Pietaszka. Do spełnienia kilku brudnych robot w tym mieście. W mieście, które ma orla w herbie i gawrony na Plantach. Mój Pietaszek ma orla zostawić w spokoju, o czym chciałem Pana, Łódzki Redaktorze, zapewnić z należytym uszanowaniem majowym

JANUSZ ROBINSON  
ROSZKO

— Jak można najpopu-

larniej określić polimery? — Są to substancje, które przetwarzamy na włókna i tworzywa sztuczne, jak np. nylon czy celuloza. Substancje te w sposób istotny różnią się od innych związków chemicznych. Stąd zarówno metody otrzymywania jak i metody syntezy, czy badania są specjalne, odbiegają dość znacznie od metod stosowanych w chemii klasycznej. Trudno o tym wszystkim mówić popularnie. Są to bowiem zagadnienia wchodzące bardzo głęboko w podstawy wiedzy, którą stosuje się do zagadnień produkcyjnych.

— Każda jednak nauka ma w swym końcu funkcje natury usługowej, świadczy w konsekwencji na rzecz rozwoju, postępu społecznego, a więc na rzecz człowieka. Jakże są te funkcje jeśli idzie o Pani Katedrę?

— Rzeczywiście, również i nasza tak bardzo teoretyczna nauka ma bardzo praktyczne cele, jak chociażby kierowanie skomplikowanymi procesami produkcyjnymi i drogą opracowań teoretycznych osiąganie nowych tworzyw o z góry przewidzianych właściwościach.

— Katedra Pani Profesor, jak każda placówka tego rodzaju ma zadania dydaktyczne i naukowe. Czy można prosić o kilka słów na ten temat?

— Zaczniemy od zadań dydaktycznych. Są one dwójakie. Z jednej strony mamy niemałe obowiązki wobec studentów (przygotowanie z chemii fizycznej ogólnej, a oprócz tego dla wybranych grup wykłady i zajęcia specjalne z chemii fizycznej polimerów) oraz szkolenie pracowników naukowych w dziedzinie teorii zagadnień związanych z przemysłem polimerowym i przemysłem włókien sztucznych i mas plastycznych.

— Czy biorąc pod uwagę przekształcanie się produkcji włóknienniczej w produkcję typu chemicznego nie wydaje się konieczną pewną modyfikację w programach kształcenia inżynierów — tkaczy czy przedziałników?

— Programy te są modyfikowane. Nie wydaje mi się jednak, aby dla włóknienników o kierunku mechanicznym technologii włókna (tkaczy, przedziałników) trzeba było rozszerzać program pod kątem chemii. Nie chciałabym jednak w tej sprawie wypowiadać się szerzej, gdyż jest to już specjalność pana prof. dr. Boryńca.

Wracając jeszcze do zadań dydaktycznych Katedry nie można pominąć milczeniem tak ważnego zadania, jak kształcenie i przygotowanie wyższego stopnia specjalistów (doktorów, docentów) zarówno dla przemysłu jak i dla wyższych uczelni. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że w Polsce przemysły włókien i tworzyw sztucznych mają bardzo szeroko nakreślony plan rozwoju i w związku z tym potrzebne będą liczne kadry specjalistów.

— Czy wobec tego nie jest

## ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. ELIGIA  
TURSKA

kier. Katedry Chemii Fizycznej Polimerów  
Wydz. Włóknienniczego Politechniki Łódzkiej,  
i Pracowni Polimerów Zakładu Syntezy  
Organicznej PAN

### chemicznej przyszłości włókniennictwa

niepokojącym fakt, iż własnie Wydział Włóknienniczy, jedyny tego typu w Polsce, wciąż jeszcze uważany jest wśród młodzieży za mało atrakcyjny?

— Również i na ten temat bardziej autorytatywnie wypowiedzieć mogliby się koledzy bezpośrednio związani z przemysłem. Mnie się wydaje, że podłoże owej nieatrakcyjności jest natury ekonomicznej.

— Może przejdziemy teraz do działalności naukowej Katedry?

— Jeśli idzie o kierunek naszych zainteresowań badawczych to przede wszystkim zajmujemy się polimerami włóknotwórczymi, tymi które mają znaczenie dla przemysłu włóknienniczego. Rozwiązując zagadnienia teoretyczne staramy się wybierać jako obiekty badań problemy o znaczeniu przemysłowym. Np. polipropylen i polistyren nie były dawniej znane jako materiał włóknotwórczy. Dopiero odkrycie nowych metod syntezy w roku 1954 — 55 pozwoliło otrzymać te substancje, jako materiały włóknotwórcze. Zagadnienia te mają we wszystkich krajach, a w tym i w Polsce, charakter produkcyjny, a nie tylko teoretyczny. Nasze prace zmierzają do wyjaśnienia pewnych, nowych możliwości w tej dziedzinie.

Drugi kierunek niesłychanie obiecujący w nauce, to chemia radiacyjna polimerów.

— Należy się domyślać, że to coś wspólnego z promieniotwórczością. Czy i w dziedzinie produkcji włókien należy w związku z tym oczekiwać jakichś rewolucyjnych przeobrażeń?

— Chodzi konkretnie o wpływ promieni emitowanych przez substancje promieniotwórcze na procesy chemiczne związane z produkcją polimerów. Prace te są w stadium początkowym i prowadzone są w ścisłej współpracy z Katedrą Chemii Radiacyjnej Wydziału

— Chemia fizyczna polimerów wyłaga dwojakich uzdolnień: eksperymentatora-chemika oraz uzdolnień matematycznych.

— ... i chyba uzdolnień koncepcyjnych?

— W pracy naukowej każdy kierunek studiów wymaga uzdolnień koncepcyjnych. Weźmy np. inżyniera praktyka, pracującego w przemyśle. Dobrze jest, jeśli ma on inwencję twórczą. Nie jest to jednak warunek sine qua non. Natomiast pracownika naukowego katedry bez inwencji twórczej nie można sobie wyobrazić.

— Słyszysz się opinie, że młodzież kandydująca na wyższe uczelnie nie grzeszy na ogół lotnością myślenia. Jakże są tego przyczyny?

— I na ten temat nie chciałabym wypowiadać się autorytatywnie. Mogę tylko stwierdzić, iż w swej pracy pedagogicznej muszę stale walczyć z nawykami mechanicznego przyswajania wiedzy przez studentów. Wynika to chyba z tego, że w szkole średniej za mało zwraca się uwagi na wyrobienie u uczniów nawyku samodzielnego myślenia, na właściwe kształtowanie młodego umysłu.

— Czy podziela Pani Profesor pogląd, iż zainteresowania humanistyczne nie są potrzebne studentowi kierunku technicznych?

— Ja osobiście bardziej cenię studenta, który umie myśleć, niż tego, który ma dużo przyswojonych wiadomości technicznych. A przecież nawyk myślenia wykształca się pod wpływem nauk humanistycznych. Stąd i upraszczanie pojęcia politécnizacji, z jakim spotykamy się niestety często, mnie osobiście nie odpowiada.

— Czy zamierzanie do majsterkowania u młodzieży może być sygnałem uzdolnień technicznych, predyspozycji umysłowej na wyższe studia politechniczne?

— Jeśli idzie ono w parze z uzdolnieniami matematycznymi, fizycznymi, chemicznymi, to chyba tak. Trudno jednak na podstawie tak wczesnych uzdolnień dziecka, a nawet i maturzysty przewidzieć jego rozwój. Sama miałam przypadki świetnego rozwoju umysłowego niezadowolonych na pozór studentów.

— Czym więc należy się kierować przy wyborze studiów? I gdzie jest źródło popełnianych przez młodzież pomyłek?

— Pomyłki biorą się głównie z kierowania się ubocznymi względami przy wyborze studiów. A więc względami natury ambicioznej, rywalizacji koleżeńską, presją otoczenia, a nie własnym zainteresowaniem. Tymczasem to ostatnie powinno decydować o wyborze studiów. Coż bowiem może dać człowiekowi więcej zadowolenia w życiu niż praca w umiłowanym zawodzie?

Rozm. K. WIRZYKOWSKA

## NARODZINY „CEZARYZMU”?

Dalszy ciąg  
ze str. 1

życiu bywa — od zamierzeń do realizacji droga daleka. Jedne chyba z największych w historii Francji strajki chłopskie w dwu poprzednich latach i lutowa manifestacja w roku bieżącym odsłoniły coś wręcz odwrotnego — stan kryzysowy.

De Gaulle jest jednak człowiekiem upartym. Pośtanowił wygrać jeszcze jedną kartę, kartę pokoju algijskiego. Pytania ostatecznego referendum zreagowano tak przebiegle, że opowiadając się za pokojem w Algierii, w najczulszej dla Francuza sprawie, miało się

mówić „tak” na dążenie do rozszerzenia prezydenckich pełnomocnictw a w następstwie dyktatury kapitału. Sprytny manewr polityczny, który, jak pisał „Combat”, nie pozostawia wątpliwości co do charakteru wstrząsu: „we Francji narodził się wczoraj reżim typu personalnego, system cezaryzmu”.

Manewr, choć przebiegły, na pewno chyłbony. Masowego „tak” nie można interpretować dwuznacznie. „Ważkie próby reżimu” — oświadczył Bruteau w imieniu SFIO — w kierunku eksploatacji tego wyniku dla uształcenia swej pozostatek polityki są z góry skazane na niepowodzenie. Nawet kryptoultrasowska partia „Niezależnych” uznała tę większość „za wię-

szosć na rzecz pokoju, a nie rządu”.

Czy tak jednak zechce rozumieć także de Gaulle? Przecież zmiana rządu i zastąpienie UNR-owskiego premiera Debre bezpartyjnym bankierem Pompidou ma być elementem umocnienia władzy wielkich monopolu, jeszcze jednym przykładem odzyskania marionetek i przejmowania przez kapitał władzy bezpośrednio w swe ręce.

Być może — domniemywa wielu komentatorów — Unia Niezależnych spełniła już swą rolę i de Gaulle, który nigdy nie był wierny jednej partii, zawsze je tylko wykorzystywał dla realizowania jakiegoś celu, partii premiera Debre wyznaczył już margines życia. Monopole,

które w r. 1958 postawiły na autoriet de Gaulle’a, człowieka Ruchu Oporu, rozpoczęły nowy etap rozgrywki.

Nie będzie on jednak łatwy. Na drodze do urzęduwistnienia celów staje lewica z partią komunistyczną, z której siły widać zdaje sobie sprawę również de Gaulle, skoro z obawy przed umocnieniem jej wpływów zamierzał pierwotnego planu przeprowadzenia już teraz wyborów do parlamentu. A nuż — zreflektował się — nowa izba będzie jeszcze mniej posłuszna, zechce traktować siebie jako przedstawicielstwo narodu i nie uda się zastąpić systemu parlamentarnego — referendum?

WIESŁAW BEK



# O kinie „Studyjnym” obszerniej

Bywają miasta na świecie, gdzie w powodzi wydarzeń i imprez kulturalnych prasa musi kierować uwagę swego czytelnika na rzeczy najbardziej godne uwagi. Robi to oczywiście zgodnie z tendencją, którą dane pismo czy gazeta reprezentuje. Dziennikarz działu kulturalnego wie co się dzieje w kręgach objętych jego zawodowym zainteresowaniem. Nie może przy tym poprzestać na informacji, czy kwitowaniu wydarzeń, musi od czasu do czasu podjąć bohaterką decyzję oceny i komentarza zdarzenia sensu ściśle kulturalnego. W obliczu rywalizacji z bracią dziennikarską nasz dziennikarz dwoi się i troi, by nie pominąć niczego godnego uwagi, by kolega z konkurencji nie okazał się bardziej lotnym w chwytaniu unoszącego się nad miastem ducha kultury.

Takie miasta, tacy dziennikarze chyba bywają? A jeśli w kronice miasta nie można zanotować powodzi wydarzeń kulturalnych? Jeśli nie ma dziennikarskiej konkurencji, która zmuszałaby pracowników działu kulturalnego gazet codziennych do wychwytywania i oceniania tego co usiłują ludzie nauki i kultury robić nie oglądając się na prasową reklamę, pochwałę czy krytykę? Co wtedy? — wtedy uda nam się i to od nie tak dawna dowiedzieć się, że w tym mieście obejrzymy na ekranach np. „Matkę i córkę” i „Jutro premiera”, przeczytamy wystawione tym filmom krótkie cenzurki. Dowiemy się, że TWP i Filmos rozpoczynają pokazy cykli filmowych z udziałem przedstawicieli nauki i kultury, że odbędzie się seminarium filmowe dla nauczycieli, że kino Studyjne, po remoncie, wznowiło działalność. (Czytelnik wybacz, że obracamy się jedynie w kręgu spraw filmowych, ale piszemy przecież na stronach Mieszanki).

Najczęściej rola dziennikarza kończy się na udzieleniu tego rodzaju informacji. Nie interesuje go dalszy los wydarzeń, o których informuje.

Zakład Wiedzy o Filmie miał powstać, poinformowano czytelnika — wystarczy. Po co wiedzieć, że po trzech latach pięknie się już rozwinał, wzbogacił o osiągnięcia, uczestników zajęć i niezbędny sprzęt.

Kino Studyjne — Gdynia legitymuje się po kilku latach działalności stale ambitnym zestawem repertuarowym i znaczną ilością takich imprez, jak dyskusje i spotkania z twórcami. Kino Studyjne, co w tym wypadku jest niesłychanie istotne, ma w stosunku do innych łódzkich kin wysoką frekwencję.

Już prawie roczna działalność Rady Artystycznej kina, wizyty na jej obradach przedstawicieli Wydziału Kultury KC PZPR, KL PZPR oraz wiceprzewodniczącego Miejskiej RN prof. Kaczmarka, obrady z dyrektorami CAF-u i CWF-u, szczególna opieka Dyrekcji Miejskiego Zarządu Kina i Łódzkiej Ekspozytury CWF świadczy chyba o znaczeniu i zadaniach kina Studyjnego, o niesłychanie ważnej akcji kształtowania kultury filmowej widzów.

Neorganizowanej przecież widowni kina pokazuje się filmy, które ze względu na swą rangę artystyczną, czy problemową szczególnie zasługują na niezgubienie w potoku filmów przechodzących przez ekrany pozostałych kin miejskich. Istnieje, zresztą już sprawdzony, pewnik, że np. „Rashomon” utrzyma się dłużej przy pełnej widowni w kinie Gdynia, niż np. w Polonii.

Umiętnienie łączenie tych filmów w cykle problemowe, autorskie, aktorskie daje możliwość przeprowadzania dyskusji wokół filmów, które mogą publiczność interesować. Żywy udział widzów w organizowanych w kinie dyskusjach i spotkaniach świadczy o dużym zapotrzebowaniu na tego rodzaju imprezy, możliwe do przeprowadzenia poza klubami filmowymi tylko w kinie Studyjnym. Przyszłość prawdopodobnie przyniesie jakąś zupełnie prawidłową symbiozę tych dwu form działalności filmowej wśród publiczności, symbiozę która może doprowadzić do ziania się tych sposobów oddziaływania na widza filmowego. Przewodnią będzie chyba wtedy rozwinięta forma działalności kina Studyjnego. Jakimś pierwszym

**T**rudno zrealizować fabularny film polityczny, który swoją fikcją literacką zdołałby zdystansować autentyczny dokument filmowy. Reż. Zbigniew Kuźmiński wytrwale szuka własnej formuły fabularnego filmu politycznego. Jego „Milejcie sławy” były próbą łączenia filmu politycznego z elementami sensacji, przy czym te ostatnie zdecydowanie górowały nad wartościowymi ideologicznymi wspomnianego filmu. „DRUGI BRZEŹ” jest niewątpliwie krokiem naprzód w poszukiwaniach Kuźmińskiego. Wartości polityczne filmu są niewątpliwie. Nie znaczy jednak, że twórca nie ustrzegł się kilku potknięć. Materiał scenariuszowy oparty na nowelach Wygodzkiego i wspomnieniach działaczy robotniczych okresu międzywojennego jest niejednolity konstrukcyjnie, stylizacyjnie. Losy zagłębiowskiego działacza łączącego ważne etapy życia politycznego przedwojennej Polski — okres wzmożonej akcji rządów sanacyjnych przeciwko siłom lewicowym w latach 1933-37, tragiczna decyzja Międzynarodówki Komunistycznej rozwijająca Komunistyczną Partię Polski, kampania wrześniowa 1939, pierwsze lata okupacyjnej konspiracji, organizowanie się grup komunistycznych. Autorzy scenariusza — Andrzej Szypulski i reż. filmu w miarę byli konsekwentni w pokazywaniu działalności bohatera na tle wymienionych wydarzeń. Ukazanie ówczesnej rzeczywistości lat międzywojennych i okupacji okazało się jednak zbyt wielkim ładunkiem dla filmu, dla dramatu psychologicznego głównego bohatera. Tak jak losy wieńskie Pawła Laskona świetnie łączy wydarzenia polityczne lat 1936-39, tak

jego okupacyjne przeżycia są jedynie jakimś przełącznikiem, mało czytelnym epilogiem. Bardzo realistycznie potraktowane sceny w więzieniu, bez koturnowości i patosu, mówią po prostu o sytuacji i walce więźniów politycznych. Rola Józefa Nowaka jest w tej części filmu bardzo ciekawie ustawiona. Widać w pracy reżysera z aktorami idealne wprost zrozumienie i jednoznaczne odczytanie roli. Nowak trafnie ukazał dramat człowieka i dramat działacza.

W ubiegłym tygodniu bawiła w Łodzi delegacja filmowców czechosłowackich, która zaprezentowała nowy swój film „NOČNY GOSĆ”, zrealizowany przez Otokara Vavre, autora znanego u nas filmu z udziałem Barbary Drapalskiej — „Milejcie barykadę”. Scenariusz napisał według własnej sztuki teatralnej jeden ze znanych współczesnych pisarzy czechosłowackich Ludwik Askenazy, autor reportażu o Polsce — „Ulica Miła”. Film Vavry i

krokiem jest tu dołączenie Studenckiego DKF do kina Gdynia. Tym samym do tego DKF włączono znaczną część stałych bywalców kina Studyjnego.

Plany kina Studyjnego rozciągają się już i na przyszły sezon filmowy. Będą, urządzane tzw. „wieczory przedpremier” polskich filmów, które prezentować ma publiczności, ktoś z ekipy filmowej. Planuje się stałe puszczenie z taśmy krótkich prelekcji połączonych z obrazami filmowymi i muzyką oraz organizowanie pewnych pokazów dla widowni zorganizowanej np. aktywu partyjnego czy młodzieży szkolnej.

Niewątpliwą atrakcją w nowym sezonie będą organizowane w kinie Gdynia, sesje wyjazdowe warszawskiego Iluzjonu.

Dziennikarz lubi najbardziej konkretny fakt, nie zawsze chce pisać o planach. Niech zatem zainteresuje się bliżej tym, co już się dzieje. Niech pomoże działaczom kulturalnym w propagowaniu często niesłychanie istotnych akcji, których przykładem może być chyba praca kina Studyjnego — Gdynia.

## Oglądamy na ekranach

Askenazego pomimo bardzo ciekawej formy (szeroki ekran dzielony na dwie części) nie uniknął statyczności akcji. Czuję się w tym filmie sztuka teatralna, jej jedno miejsce, czas i akcji. Niezaprzeczalnym walorem tego filmu jest jego aktualna wymowa polityczna. Przy wszystkich wadach konstrukcji dramatycznej dominuje w nim akcent politycznej aktualności. Wyróżnić należy wśród aktorów bardzo dobrego Rudolfa Hrusińskiego w roli Hupperia. Niewątpliwym osiągnięciem formalnym są znakomite zdjęcia Jaroslawa Tuzara. Słusznie CWF po kilku latach wprowadza do ponownego rozpowszechniania niektóre filmy, które cieszyły się u nas w la-

tach poprzednich dużym powodzeniem. Takim wznowieniem jest film Iwana Pyriewa, autora znanego u nas „Pieśni taigi”, zrealizowany w 1942 roku w ewakuowanym do Alma-Aty „Mosfilmie”. Dramat wojenny „SEKRETARZ REKOMU” jest typowym utworem filmowym dla lat 1941-42 — okresu napadów hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki, zrealizowanym z potrzeby rozwinęcia szerokiej propagandy antyhitlerowskiej. Pyriew w sposób zajmujący stworzył dramat sensacyjny ukazujący narodziną słynnej radzieckiej partyzantki. Trzeba przyznać, że po dwudziestu latach film niewiele się zestarzał i jest nadal utworem o szybkim tempie akcji zachowującym również dzisiaj pewną aktualność polityczną. Różnie mogą widzieli niektórzy szczegóły scenografii, czy zbyt żywiołowa gra aktorów. Warto jednak przypomnieć sobie ten film i warto go polecić młodemu.

O całe 19 lat młodszy jest „SWOBODNY WIATR” — barwna, szerokoekranowa i stereofoniczna adaptacja melodramatu Dunajewskiego. Reżyserował jeden z bardziej znanych obok Pyriewa reżyserów radzieckich starszego pokolenia — Leonid Trauberg, autor słynnej filmowej trylogii o Maksymie Gorkim. Razi w tym filmie operetkowa fabuła, która nie bardzo jest strasna. Wychodzi w tym filmie bardzo wyraźnie słabość operetkowego libretta, które nie należy do najmocniejszych stron operetek w ogóle. Oczywiście strona wokalna i muzyczna filmowej wersji „Swobodnego wiatru” będzie na pewno mądrzejszą, którą przyciągnie wielbicieli lekkiej i podkaszanej Muzy.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA

FILMOWA

MIESZANKA



W kwietniu w łódzkim atelier rozpoczęły się zdjęcia do filmu wg komedii M. Bałuckiego „KLUB KAWALERÓW”. Scenariusz napisał Ludwik Starski a reżyseruje Jerzy Zarzycki („Żołnierz Królowej Madagaskaru”). Grają: Irena Kwiatońska, Lidia Korsakówna, Tadeusz Surowa, Kazimierz Brasikiewicz, Bronisław Pawlik i inni.

MIESZANKA

FILMOWA

FILM

FILM



VENUS 62 — CLAUDIA  
CARDINALE

odgłosy str.  
3





w Zakładach blisko 13000 ludzi. Produkcja była o 40 procent niższa. Załoga zmniejszyła się więc o blisko 5000 ludzi, produkcja wzrosła o 40 proc., jej wartość wyniosła w ubiegłym roku 1 miliard 250 milionów złotych. W 1959 roku wyprodukowano na eksport 7 milionów metrów tkanin, a w roku 1961 — już 14 milionów metrów tkanin.

Oto fakty, które są miarą przemian. Czy to dobra i obiektywna miara? Tak! Te fakty rodzą bowiem nową sytuację. Nowe trudne konflikty. Między ekonomiką a ludźmi. Przemysł bawelniany należał w ubiegłych latach do inwestycyjnych kopciuszków. Inwestowano nie tylko mało, ale często źle. Lat 1945—1955 to był okres inwestycyjnej posuchy w Zakładach im. Marchlewskiego. W latach 1956—1960 inwestycje kosztowały ponad 191 milionów złotych. Ale w samym tylko roku 1961 wyniosły około 100 milionów złotych. Modernizacja postępuje teraz bardzo szybko. Zakonieczona zostanie w 1965 roku. Już dziś z najbardziej zaoczonych obiektów produkcyjnych pozostały tylko ślady. Ale modernizacja oznacza redukcję. W Łodzi jest trudno o pracę. To jedyne miasto w Polsce, gdzie ponad połowa kobiet pracuje. A badania przeprowadzone w łódzkich zakładach włókienniczych wykazały, że kobiety-matki mają o 80 procent wyższą absencję chorobową niż kobiety bezdzietne i mężczyźni. Więc Zakłady najchętniej zwalniają właśnie kobiety obciążone dziećmi. Te właśnie kobiety, którym najtrudniej uzyskać pracę i którym jest ona najbardziej potrzebna. To tylko wycinkowy przykład nowych konfliktów, zrodzonych z nowego etapu rozwoju Zakładów.

Więc jak to w końcu wygląda? Celem produkcji socjalistycznej jest człowiek, zapewnienie mu lepszego, bogatszego życia. Droga do tego prowadzi przez zwiększenie produkcji, wydajności. Ludzie pragną sprawiedliwości, poczucia równości wśród równych.

„Król” jest potężny. „Król” zatrudnia 8000 ludzi, 8000 ludzi to dziesiątki tysięcy spraw, pretensji urojonych i prawdziwych, i takich, na które nie poradzić nie można. Tysiące kłopotów i wiele dramatów. Więc czy przechodzić obok tego trudnego bogactwa konfliktów na zasadzie — wy dajcie fabryce swą pracę, a fabryka wam chleb, czy podejmować trud dzielenia sprawiedliwości i czy można ją dzielić, czy też chodzi o stworzenie systemu, który zabezpieczy ludziom sprawiedliwość, czy w warun-

# MATERIAŁY do portretu...

Dokończenie ze str. 1

kach istniejących sprzeczności między interesami ekonomiki a interesem osobistym jednostki możliwe jest zespolenie w świadomości ludzkiej interesu społecznego z indywidualnym?

Wzięcie władzy przez ludzi, którzy całym sercem są za społeczną sprawiedliwość, nie oznacza, że mogą ją oni w sposób abstrakcyjnie idealny natychmiast zrealizować. Wyczerpać machinamiem czarodziejskiej laseczki. Zmienić czarodziejskim zaklęciem slumsy w szklane domy.

## II

Pięćset rodzin otrzymało od Zakładów mieszkanie. Ale setki żyją jeszcze w warunkach urągających wszelkim wyobrażeniom o higienie. Na strychach, w piwnicach, w wilgotnych, przepchnionych już nie po brzoگی, ale nawet po sufit (piętro w łóżka). Są tacy, którzy chorują na gruźlicę, mają reumatyczne dzieci. Czeka ją nie raz latami, pełni nadziei i przy każdym nowym przydziale, który jeszcze nie ich dotyczy, rozczarowani...

Łódź ma największe zagęszczenie mieszkaniowe spośród polskich miast. Na jedną izbę pod koniec 1961 r. wypadło 1,75 mieszkańca. Prawie połowa ludności w jednoizbowych mieszkaniach...

Złobek zakładowy pracuje na dwie zmiany, mimo to może przyjąć tylko 160 dzieci. Przedszkole także na dwie zmiany i mimo że oficjalnie posiada tylko 140 miejsc, mieści 170 dzieciaków. Zakłady wypłacają zasiłki na blisko 5000 dzieci. Pracownicy Zakładów mają oczywiście więcej dzieci, tylko zasiłki często pobiera drugi rodzic w innym zakładzie. Blisko 70 procent załogi „Marchlewskiego” to w znacznej części kobiety mające dzieci. Zasiłki chorobowe wynoszą rocznie średnio około 7 milionów złotych. Szacunkowe obciążenia wykazują, że znaczna część zwolnień lekarskich (było ich w roku ubiegłym ponad 15000) to zwolnienia z powodu konieczności opieki nad chorym dzieckiem.

Kobiety powiadają: „Dajcie

więcej żłobków, przedszkoli, zorganizujcie opiekę nad naszymi dziećmi, a będziemy pracowali wydajniej, będzie mniej zwolnień, Zakłady nie poniosą znacznych strat z tytułu przestoju”.

Dyrekcja powiada: „Nam opłacałoby się nawet duże nakłady, byle tylko zabezpieczyć przed przestojami. To powoduje olbrzymie straty. Ale brak nam pieniędzy...” A fachowcy sprzeczą się podobno o metodę obliczania strat wynikłych z absencji.

Juszczyńska jest majstrem na przedalnię odpadkowej. Juszczyńska jest posłem na Sejm. Przychodzą do Juszczyńskiej skarżyć się na mężów lubowców, proszą o pomoc w umieszczeniu dziecka w żłobku, uderzają w historyczny lament, że jak nie dostaną mieszkania, to zaraz, na miejscu, skończą z sobą.

— Jesteś przecież posłem, widujesz się z Gomułą, Cyraniewiczem. Powiedz im, jak żyjemy. Oni przecież wszystko mogą. Jak oni powiedzą, to musi być załatwione. A dlaczego mają nie powiedzieć?... Albo może lepiej z Albrechtem...

— Tam jest nas kilkuset posłów — mówi Juszczyńska. — Każdy reprezentuje jakieś województwo, powiat, jakiś bliższy sercu teren. Jak każdy by przyszedł i powiedział: „Dajcie”, to co by było? Wszystko, co można dostać, dostajemy, ale nie mogą nam więcej dać, niż mają...

Kobiety słuchają tego i odchodzą rozczarowane... One znają topografię władzy i wiedzą swoje, że gdyby Gomułka, Cyraniewicz, Albrecht kazali, to by się znalazło... Wiadomo, że w świecie bez protekcji ruszyć się nie można, dlatego więc z protekcji nie skorzystał Łódź to przecież szczególne miasto...

## III

Zakłady produkowały olbrzymią fortunę. Poznańskiego i odbierały ludziom zdrowie. Stan bezpieczeństwa i higieny był w Zakładach katastrofalny. Kiedy pierwsza wojna światowa zdewastowała

Zakłady, a Rewolucja Październikowa odebrała im główne rynki zbytu na Wschodzie, zaczęły się trudne lata. Oczywiście najbardziej odczuł to robotnicy. Zakłady pracowały 3—4 dni w tygodniu. Zmniejszyły się zarobki. Pogarszały się warunki pracy. Starzy robotnicy do dziś wspominają słynną mordownię — halę 250 m na 100, w której pracowało 1000 krosien! Temperatura w bardzo niskiej hali dochodziła do plus 40 stopni C. Płatanina pasów transmisyjnych była przyczyną codziennych tragicznych wypadków.

Dziś z hali tej pozostały już tylko małe fragmenty. Wkrótce nie będzie po niej śladu. Zbudowano nową, wielką, piękną przedalnię. Wysoka, z dobrą wentylacją, pomalowana na wesołe pastelowe kolory. Ludzie nazywają ją „filharmonią”. W nazwie tej spleta się podziw dla jej pięknej architektury, oszklonych ścian, dobrej wentylacji i... sarkastyczna kpina. Hala fabryczna powinna być z pewnej zasadniczej przyczyny przeciwieństwem „filharmonii”. W żadnym wypadku nie może być akustyczna, musi tłumić potworny stukot maszyn.

Jedną z zawodowych chorób tkaczy jest głuchota. Starych tkaczy łatwo poznać po podniesionym, ochrypłym głosie. Przywykli do wielogodzinnego

projektu generalnej modernizacji całej wykończalni. Koszt modernizacji wynosi 130 milionów złotych. Towarzysze z dyrekcji powiadają, że powinno to przynieść poważne korzyści i nie tylko znacznie poprawić warunki zdrowotne, ale zwiększyć możliwości eksportowe. Wiadomo np. że NRF kupuje od nas surówkę i po obróbce w wykończalniach sprzedaje po dużo wyższej cenie na rynki afrykańskie i azjatyckie. Obecna wykończalnia nie może sprostać wymaganiom wielu



klientów. Niestety, projekt odrzucony został bez dyskusji.

Więc tak jest z tą farbiarnią. Ale za to za 900.000 dolarów zakupiła Polska licencję najnowocześniejszych obecnie krosien sauerowskich. Pierwsze „saurery” pracują już u „Marchlewskiego”. Nie wymagają od robotnika żadnego wysiłku fizycznego — jeden tkacz pracuje tu na 32 krosnach. Wydajność pracy wzrasta niemal automatycznie o 30 proc., zarobki sięgają tu 3000 zł. I oto nowy problem — pracując na „saurerach” trzeba oczywiście więcej umieć, a w każdym razie znać się trochę na maszynach, ale praca jest lekka, bezpieczniejsza, a zarobki prawie dwa razy wyższe niż na maszynach starego typu. W pięcioleciu wyprodukujemy 15.000 takich krosien. Gdyby je kupił, trzeba by zapłacić ponad 40 milionów dolarów. Dlatego robimy je sami. Ale to trwa. I oto w tych samych zakładach ludzie pracują w dwu różnych epokach: w wieku XIX i XX. Nie tylko różne warunki pracy, ale i różne place.

Więc jeden z najważniejszych problemów, to poprawa warunków pracy w oddziałach jeszcze nie zmodernizowanych.

Najważniejsza i najtrudniejsza sprawa, to klimatyzacja. Właściwie rozwiązana została tylko w dwóch salach. Lekarze notują więc dużą ilość chorób układu krążenia, wywołanych złym mikroklimatem. Zakłady dysponują wszystkim, co trzeba dla założenia wentylacji we wszystkich oddziałach. Brak tylko najważniejszego — wentylatorów o odpowiedniej mocy. Wentylatory takie produkują zakłady w Chelmie i w Elblągu. Niestety, już od dwóch lat nie wywiązują się z przyjętych zamówień.

Zasadniczej modernizacji wymagają także tkalnie. Chodzi

o wyłożenie ścian materiałów dźwiękochłonnym. Lekarze notują stąły wzrost głuchoty i zaburzeń układu trawiennego związanych z funkcjonowaniem systemu nerwowego.

Zorganizowano w Zakładach wzorowy ośrodek zdrowia. Pracuje tu 20 lekarzy specjalistów. W tym kilkunastu pracowników naukowych Akademii Medycznej — asystentów, a nawet docentów. Ośrodek zdrowia ma wśród załogi bardzo dobrą opinię. Pacjenci załatwiani są z czułości i uczciwie. Ale lekarze zbyt często rozkładają bezradnie ręce. „Możemy tylko leczyć — powiadają — a myślimy, powinniśmy głównie zajmować się profilaktyką... Ale jak możemy utrzymać robotników przed skutkami katastrofalnych często dla zdrowia warunków pracy, mieszkaniowych?”

## IV

Mój pokój na parterze był lany był słońcem. Niebo jak rozpalona blacha. Bez chmurki. Zszedłem na dół. Ani śladu słońca. Wąski tunel ulicy był chłodny i duszny. Wróciłem po płaszcz.

Naukowcy mówią: nad środkiem wisi aerozol. Czarna, gruba chmura dymu, spalin i wycieków chemicznych. Przyroda spryskała się przeciw miastu. Tu jest najmniejsza róża wiatrów. Więc aerozol wisi bezkarnie nad miastem.

Wzięliśmy miasto. Fabrykanckie palacyki i śmierzące Bałuty. Trochę nowoczesnych kamienic i duże domy ponurych, wilgotnych, bez gazu, kanalizacji, wodociągów. Piętrowe drewniane i tamietne murowane o drewnianych stropach. Domy-studnie na Piotrkowskiej, o fundamentach sięgających zaledwie kilkadziesiąt centymetrów w ziemię, a pięciu kamiennych podwórzach z kawkami nieba.

Półchłupniczy przemysł bez zaplecza naukowego, bez inteligencji. Taki był spadek.

Więc mach laską Mojżesza — i są mieszkania, mach — jest kanalizacja i wodociąg, mach — jest nowoczesny przemysł.

Ale laska Mojżesza znajduje się podobno w Londynie i nie niewiele Brytyjczykom pomaga, skoro umieścili ją pośród starych osobliwości w British Museum.

## V

Więc trzeba zbudować ileś tam set tysięcy mieszkań, stworzyć służbę zdrowia, zdolną do oparcia nowalnego, niszczącego ludzi wroga — gruźlicę. Stworzyć ośrodki naukowe. Zbudować cały system wszelkich niezbędnych urządzeń higienicznych-sanitarnych. Podnieść wykształcenie i poziom kultury mieszkańców. Trzeba... trzeba... trzeba... Nie słarczy kolumny druku, aby to wszystko wymienić.

Wybudowano rurociąg pociąg — Łódź. Obecnie buduje się już druga „nitkę”.

60 procent mieszkańców korzysta teraz z wodociągów. Można mówić — dopiero, można powiedzieć — już. To kwestia poczucia rzeczywistości. Niedługo znów pojawią się trudności. Trzeba będzie zbudować kanał dostarczający wody z którejś z naszych wielkich rzek. Wybudowano rurociągi gazowy ze Śląska. 25 procent mieszkańców korzysta już z gazu. Za pięć lat leżba z osiagnie 65 procent. Wybudowano jedną elektropięlinię, powstaną wkrótce dwie dalsze.

Zbudowano już przeszło 65 tysięcy izb. W latach 1961—1963 powstaną około 90.000 izb. Ale w tym samym czasie trzeba będzie wyburzyć około 18000 izb.

Budowano je nie z myślą o przyszłości i wygodzie ludzkiej. Sita robocza musiała gdzieś mieszkać. A kamienie dawały wcale dobry zysk. Tylko, że wała się już. Są z drewna albo mają drewniane stropy. Bez piwnic i strychów. Nie można uratować żaden remont. Jeszcze dziś 40 procent łódzkich mieszkań składa się z „po-



Fot. J. Neugebauer



materialne...  
karze...  
uchoty...  
nowom...  
Zakładach...  
Prac...  
cjali...  
cownik...  
Medyc...  
rowia...  
a nawo...  
obra op...  
ni są z...  
e lekar...  
a bez...  
tylko le...  
a myśl...  
ować s...  
możesz...  
czesto...  
acy, nie...  
terze za...  
Nieb...  
acha. B...  
dlem m...  
a. Was...  
y i dusz...  
szcz...  
nad środ...  
Czarna...  
spalini...  
ch. Przy...  
prze...  
jnniejsz...  
aerod...  
stem...  
Troch...  
ie i du...  
gic i du...  
wodoci...  
aki i ta...  
drewni...  
y-stud...  
ndam...  
dwie kil...  
y w z...  
ych po...  
nieba...  
myśl be...  
żesz in...  
ek...  
jesz...  
— jest...  
gi, mach...  
znajdu...  
nie i te...  
pomaga...  
dó st...  
tish Mur...  
ować ile...  
y mies...  
służb...  
do op...  
zającego...  
y. Stwo...  
Zbud...  
kich nie...  
igien...  
sę wy...  
kultury...  
trzeba...  
kolumny...  
wynie...  
ag Pili...  
duje się...  
ców ko...  
ciągów...  
ero, mo...  
To kw...  
wistost...  
wag się...  
zob...  
acy wo...  
wielkie...  
rurcią...  
procent...  
już i...  
czba...  
Wybud...  
płowni...  
dalsze...  
85...  
1961-1965...  
z. Ale...  
trzeba...  
18000...  
myśla...  
ludzkie...  
gdzie...  
dawa...  
tylko...  
żna albo...  
y. Be...  
e może...  
remont...  
lódz...  
z „po...

Jedynkie — ich „zageszczenie” jest największe. Ponad 60.000 rodzin prowadzi wspólne gospodarstwo domowe. Oto sprawy, które mogą być miarą wagi problemu, jakim jest walka o podniesienie poziomu cywilizacyjnego i kulturalnego mieszkańców, problemu nierozdzielnie związanego z poziomem bytu materialnego mieszkańców. Powiedziano: zmienić charakter miasta. Trzy krótkie słowa. Łatwo powiedzieć. Człowiek mówi: to było dawno, jakieś piętnaście lat temu... Kiedy uczono mnie historii, nie zauważyłem, aby piętnastoletnia twórczość cywilizacji i kultury. Zaczęłem dostrzegać potem, we własnym kraju.

# VI

Słuchając wypowiedzi obu stron — kierownictwa i załogi — można zostać optymistą. Obie strony teatrowie, rzecz można, akceptują wzajemne postulaty. Kierownictwo chce od robotników dobrej, wydajnej pracy, podnoszenia kwalifikacji, uczciwości, związania ich losów z losem fabryki, i robotnicy nie deklarują, ale czynami udowadniają swój pozytywny stosunek do tych wymagań. Rośnie w Zakładach wydajność pracy, maleją koszty własne, zmniejsza się zatrudnienie, zwiększa produkcja, ludzie chcą w fabryce pracować, dążą do stabilizacji. Ci, którzy nie mają odpowiednich kwalifikacji, w większości uczęszczają do szkoły i na różne kursy. Robotnicy powiadają: chcemy poprawy warunków pracy w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny, chcemy mieszkań, chcemy poprawy i zwiększenia ilości usług socjalnych, chcemy, żeby nie było kumoterstwa i niesprawiedliwości, chcemy, aby wzrastały nasze zarobki. I kierownictwo fabryki, resortu także pozytywnie ustosunkowuje się do tych postulatów. Z roku na rok znacznie rosną nakłady na bhp. Co roku pracownicy Zakładów otrzymują nowe mieszkania na Kozinach i Kuraku, na Zubardzi i na Dolach. Istnieje bardzo poważne dofinansowywanie przez Zakłady spółdzielni mieszkaniowej. 25 procent funduszu zakładowego wynoszącego w ubiegłym roku blisko 16 milionów złotych, przeznaczono na fundusz mieszkaniowy. Zorganizowano niedzielny i urlopowy wypoczynek dla pracowników i ich rodzin,

których nie sposób uniknąć, nie mogły przekreślić porozumienia generalnego. To wcale nie jest łatwe. Bo trzeba uzasadnić, dlaczego Iksiński pracuje na „saurerach”, gdzie praca, zarębie, robota łączy się a zarobki większe, a wiadomo, że kwalifikacje Iksińskiego posiada jeszcze bardzo wielu robotników. Bo dlaczego dostał mieszkanie nowo ściągnięty do Zakładów technolog, a nie otrzymał go czekający od dawna robotnik? Jak wytłumaczyć zasłużonemu robotnikowi, że ponieważ mają przepuklinę, nie będą mogli wykonywać dotychczasowej pracy, ich zarobki zmniejszą się, zmniejszą się także ich pozycja w Zakładach. Jak wytłumaczyć starym, zasłużonemu robotnikowi, że nowa technika burzy dotychczasowy układ stosunków i hierarchie wartości, że ich „złote” ręce i wiele lat doświadczenia są dziś mniej warte od znajomości kilku praw fizyki i mechaniki, potrzebnych do obsługi skomplikowanych urządzeń?

Oto tylko milimetry wycinek z tysięcy problemów, które będące codziennym marginesem spraw generalnych, codziennie stać się mogą najważniejszymi. Znane są tradycje robotniczej Łodzi. Ale współczesna łódzka klasa robotnicza w wielu procentach rekrutuje się z ludzi, którzy stanowią pierwsze proletariackie pokolenie. Przeszło 40 procent polskiego przemysłu włókienniczego — to Łódź. Przeszło 1/3 zatrudnionych na terenie Łodzi pracuje w przemyśle włókienniczym. Około 7 procent robotników nie chodziło nigdy do szkoły, 41 procent nie ukończyło szkoły podstawowej. Średnią szkołę ukończyło tylko 4,9 procent robotników. Oznacza to, że połowa robotników zatrudnionych w Łodzi nie tylko nie ma przemysłowej tradycji i przemysłowego „otrąskania”, ale nie ma nawet podstawowego wykształcenia. Jeśli jednak przyjrzyć się tym sprawom bliżej, okazuje się, że wśród robotników nie posiadających żadnego wykształcenia 64 procent stanowią ludzie po sześćdziesiątce. Wśród robotników posiadających wykształcenie średnie młodzi stanowią 85 procent.

Pytają — jaki jest robotnik anno domini 1961? Gdzie jest

Wacław G. wracał po pracy do domu. Był zmęczony i szedł powoli. Myślał ze smutkiem o tym, że jego córka, mała Krysiu, nie czuje się dobrze, ma temperaturę i pewnie znów trzeba będzie wzywać lekarza. Zbyszek również był bardzo chorowity, a i żona nie cieszyła się najlepszym zdrowiem. Ciężka praca utrzymywał całą czwórka. „Dobrze, że” mnie chociaż zdrowie dopisuje” — pomyślał. „Co by oni beze mnie robili?” Doszedł właśnie ulicą Piotrkowską do Moniuszki i skręcił w lewo, a następnie przeszedł na drugą stronę. Zauważył, że grupa młodych mężczyzn i kobiet, która stała naprzeciw „Łódzianki” — ruszyła za nim. Nie zwracał jednak na nich większej uwagi, zajęty własnymi, niewesołymi myślami. Wtem ktoś brutalnie chwycił go z tyłu za kurtkę i kurtkę i zepchnął na jezdnię. Zatrzymał się i byłby upadł, jednak w ostatniej chwili podparł się ręką. Gdy się wyprostował ONI już stali obok niego. Półkołem. Zawzięte, złe, skurczone, gniewem twarze. U niektórych ironiczne uśmiechy. Kobiety patrzyły na niego wykrzywiając pogardliwie usta. Poczuł, że jest bezsilny, ale chociaż tuż obok tętniła życiem główna arteria miasta. Ale był odważny. Nie ugiął się pod tymi spojrzami, nie uciekł przed liźnącą przewagą. Łódzki robotnik w robotniczym miescie, przy bramie swego domu podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy najbliższego napastnika. — Dlaczego mnie zaczepiasz? — zapytał — co wam zrobi...

Nie zdążył dokończyć zdania. Rosły obok niego błyskawicznie wyciągnął prawą rękę z kieszeni. Matowo błysnął jakiś przedmiot we wzniezionej dłoni. Potworne uderzenie. W samą głowę. Wacław G. runął na jezdnię. Na znak. Ciało zamarło bez ruchu z rozkrzyżowanymi ramionami. Oprawcy powoli, miarowym krokiem ruszyli w dalszą drogę. Jeden z nich, przechodząc obok ciała, potrząsnął jeszcze butem głowę robotnika... \* \* \* Czekasz, teraz, zapewne, Czytelniku, na dalszy opis wydarzeń, który, zgodnie z logicznym rozumowaniem, powinien mniej więcej wyglądać tak: liczni przechodnie, świadkowie tego potwornego zajścia urządzają pościg za bandytami. Przechodzący nieopodal ul. Piotrkowskiej patrol MO zostaje natychmiast zaalarmowany. Szybka interwencja obywateli i milicji doprowadza do ujęcia sprawców. Śledztwo. Sąd. Wyrok. Sprawiedliwość stało się zadaniem. Niestety. Rzeczywistość jest inna. Znalazł się tylko jeden odważny, który pobiegł za oprawcami. Ale był sam jeden. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Zgromadzeni wokół ciała ludzie ograniczyli się do paru okrzyków: łapać łapać! Ale nie więcej. Sprawcy się rozproszyli. Ścigający wrócił z pustymi rekoma. Zajął się najpierw Wacławem G., a potem bezskutecznie próbował dzwonić z sąsiedniego lokalu. Ale nie dopuszczono go do telefonu. Kiedy wreszcie zawiadomił milicję i zjawili się pogotowie mili-

cyjne — minęło już kilkanaście bezcennych minut. Można było szukać wiatru w polu! Na świadków zajścia zgłoszyli się tylko dwie osoby. Reszta wołała nie ujawniać swoich nazwisk. Było wielu obserwatorów. Niestety, tylko obserwatorów. Ale oddajmy głos świadkowi, inż. Henrykowi K. Cytuję dosłownie fragmenty jego zeznań: „około godz. 22.10 czekałem na żonę na ul. Piotrkowskiej obok kawiarni „Łódzianka”. W niedalekiej odległości stała grupa młodych mężczyzn i kobiet w wieku 18—20 lat. Kobiety sprawiały wrażenie prostytutki — minęło już kilkanaście bezcennych minut. Można było szukać wiatru w polu! Na świadków zajścia zgłoszyli się tylko dwie osoby. Reszta wołała nie ujawniać swoich nazwisk. Było wielu obserwatorów. Niestety, tylko obserwatorów. Ale oddajmy głos świadkowi, inż. Henrykowi K. Cytuję dosłownie fragmenty jego zeznań: „około godz. 22.10 czekałem na żonę na ul. Piotrkowskiej obok kawiarni „Łódzianka”. W niedalekiej odległości stała grupa młodych mężczyzn i kobiet w wieku 18—20 lat. Kobiety sprawiały wrażenie prostytutki

## Z notatnika prokuratora

ANDRZEJ OSTOJA

# BESTIE

tek, a mężczyźni chuliganów. Można to było wywnioskować ze sposobu zachowania się tych ludzi, ich obrzydliwego wystawiania się, brudnych, wstrętnych słów i ordynarnych zaczepek osób wychodzących z „Łódzianki”. W pewnej chwili od grupy tej odłączyło się około ośmiu mężczyzn i kobiet i poszli wolnym krokiem w stronę restauracji „Halka” na Moniuszki. Szli chodnikiem po prawej stronie, licząc od Piotrkowskiej. Jednocześnie chodnikiem tym szedł przed nim jakiś nieznan mi obywatel, ubrany w kurtkę i naciągającą czapkę. Kiedy grupa zbliżyła się do niego, szedł na lewą stronę chodnika. W chwili, kiedy grupa zrównała się z nim, jeden z osobników, ubrany w beżowy płaszcz i w czapce na głowie, pchnął niespodziewanie tego człowieka. Ten ostatni zatrzymał się na jezdni i omal nie upadł. Po tym pchnięciu grupa chuliganów przysłała i utworzyła półkole wokół tego obywatela w kurtce. Zaznaczam, że szedł on cały czas zupełnie prosto i spokojnie, nikogo nie zaczepiał i absolutnie nie robił wrażenia pijanego, natomiast chuliganów musieli być trochę podpieli. Gdy utworzyli półkole, zaczepiony człowiek złożył się do nich i spytał dlaczego go zaczepiają, nie skończył zresztą nawet zdania, gdyż jeden z ostatnich stojących w półkole, atletycznie zbudowany, w płaszczu ciemnym i o ciemnych włosach, bez nakrycia głowy, zbliżył się do lewego boku obywatela w kurtce, coś wyjął z kieszeni i ruchem zamachowym, uderzył go w twarz. Cios był tak silny, że ten obywatel błyskawicznie upadł do tyłu na asfalcie nawierzchnię jezdni. Pozostał tak bez ruchu, z rozkrzyżowanymi rękami, nie wyda-

jąc żadnego głosu. Na ten widok grupa chuliganów, najpierw powoli, a potem coraz szybciej zaczęła się oddalać w stronę ul. Sienkiewicza. Przechodząc obok ciała jeden z nich potrząsnął nogą. Widząc to zdarzenie, które trwało zapewne około minuty, podbiegłem do leżącego, ale on nie dawał znaków życia, więc przebiegłem na drugą stronę ulicy i zacząłem krzyczeć na chuliganów, aby się zatrzymali, gdyż zabili człowieka. Na moje krzyki dwóch z nich momentalnie wpadło w ul. Hotelowa, trzech lub czterech w bramę „Halki”, a dwóch bardzo

szybkim krokiem poszło przed siebie. To byli właśnie ci, z których jeden pchnął, a drugi uderzył niewinnego człowieka. Pobiegłem za nimi, co widząc pucili się biegiem i wpadli w ul. Hotelowa. Nikt z ludzi mi nie pomógł. Parę osób krzychało tylko, aby ich łapać. Dobiegłem Hotelowa do Traugutta, ale nigdzie tych opryszków nie było widać, powróciłem więc do pobitego. Przechodnie już go podnieśli i posadzili pod oknem „Łódzianki”. Wszedłem do restauracji „Halka”, aby zawiadomić milicję, ale ogólny telefon był uszkodzony i nie mogłem z niego skorzystać. Udałem się więc do kierownika restauracji, aby zadzwonić z jego telefonu. Oświadczył, że nie zgadza się na to, chociaż mu powiedziałem o co chodzi. Zakomunikowałem mi, że jego telefon jest wyłączone do jego dyspozycji i nikomu nie pozwolił z niego korzystać. Wobec tego udałem się do kawiarni „Honoratka” przy ul. Moniuszki i stamtąd zadzwoniłem do milicji. Czekając na przybycie auta milicyjnego, które szybko przyjechało. Kiedy tylko pobitego zabrano do samochodu i auto odjechało, na rogu ul. Piotrkowskiej i Moniuszki wywiał się nowa bójka, ale miałem już wszystkiego dosyć, byłem zmęczony, nie interweniowałem i udałem się do domu. Nie jestem pewien, czy poznałbym napastników”. Następny świadek, przódka Stanisława S., nie wniosła właściwie nic nowego do sprawy. Wacław G. drugiego dnia zmarł w szpitalu. Sekcja zwłok wykazała: „rany tłuczono-słuzówki warg, zasinienia na wargach, wylewy krwawe w tkance podskórnej głowy, klaki piersiowej i w mięśniach skroniowych, złamanie kości czaszki, wylewy krwa-

we nad, pod i śródogłowe oraz do mózgu, obrzęk mózgu”. Opinia lekarza brzmiała: „Denat zmarł śmiercią gwałtowną na skutek wylewów wewnątrzczaszkowych, które powstały od działania narzędzia tępego ze znaczną siłą”.

Rozpoczęło się długotrwałe, żmudne i trudne śledztwo, w czasie którego milicja dokonała całego szeregu czynności operacyjnych. Okazano świadkom wiele osób, które można było brać w rachubę jako ewentualnych sprawców zajścia. Ustalono nawet osobę, co do której zebrano stosunkowo najpoważniejsze poszlaki. Cóż z tego, kiedy świadkowie sami nie byli pewni, jak bandyci wyglądali? Wszelkie, różnorodne wysiłki prokuratury i milicji nie przyniosły rezultatu i w końcu, wyczerpawszy wszelkie dostępne środki, z ciężkim sercem sprawę umorzylem z powodu niewykrycia sprawców. Wrócąc zresztą do tej sprawy, podobnie jak do innych tego typu, wielokrotnie, zastanawiając się nad nimi i przeprowadzając analizy z perspektywy czasu. Przykre to spotkanie. Świadomość nie ujęcia sprawcy czy też sprawców nie daje spokoju. Na szczęście tych spraw, gdzie przestępcy pozostali nie ujęci, nie ma dużo, ale zdarzają się. Są to w łwiej części sprawy o podłożu chuligańskim, kiedy zbrodniarze zabijają, ranią i kaleczą innych ludzi bez żadnego motywu, a jedynie dla samej PRZYJEMNOSCI. Oto zabójstwo Wacława G.; oto sprawa Władysława Z. zamordowanego bez żadnej przyczyny w bramie własnego domu, kiedy wracał z kupioną butelką piwa. Ta też butelkę wyrwana mu z ręki i uderzono kilka razy po głowie. A oto śledztwo w sprawie Mariana Z. który na ulicy został uderzony żelazną rurką w głowę. Sprawa oddalił się spokojnie, a trup Mariana Z. pozostał na ulicy. Oto młody 16-letni chłopak, którego w biały dzień, na ruchliwej ulicy, nieznan chuligan uderzył jakimś narzędziem w głowę, gdy schylił, szmurał sobie buty. Chłopak nie wie nawet, kto go uderzył, ocknął się z omaludnia dopiero po paru minutach. Doznał złamania kości obojczyka, nie wiadomo, czy uda się uratować oko. Mogłbym przytaczać dalsze, ponure przykłady. Przykłady bestialstwa bez granic, przykłady ilustrujące jak nisko może upaść człowiek, który staje się gorszy od zwierzęcia, zadając ból, cierpienie, śmierć wreszcie — tylko dla własnej uciechy.

We wszystkich przytoczonych wyżej sprawach przestępcy pozostali nie ujęci, chociaż dopuścili się zbrodni wobec świadków. Niestety, świadkowie ci nie tylko, że pozostali bierni, lub byli aktywni w niedostatecznym stopniu, ale nawet nie zdołali zapamiętać wyglądu bandytów, aczkolwiek było to możliwe. Do zagadnienia tego powrócę jeszcze w następnych artykułach. Tylko wspólnym wysiłkiem społeczeństwa i organów ścigania możemy dojść do wspólnego celu, ażeby wyzyskać z wszelkich uczuć ludzkich morderców i innych przestępców nie było wśród nas, a tym bardziej, żeby im to nie uchodziło bezkarnie!



kolonie letnie dla dzieci, funkcjonuje ośrodek zdrowia i Oddział Zaopatrzenia Robotniczego. Zwiększa się udział robotników w zarządzaniu Zakładami. Kierownictwo cieszy się zdaje się zaufaniem załogi. Place w ubiegłym roku zwiększyły się o około 3,5 procent. Czy wobec tego wszystko jest w porządku? Nie! To jest bowiem porozumienie generalne, wynikające ze wspólnoty interesów robotników i państwa, reprezentowanego przez kierownictwo resortu lub fabryki. Ale obok tego generalnego porozumienia płynie warka rzeka konfliktów, nie przewidywanych żadnym schematem. Patrząc na te konflikty znad szachownicy całego kraju, wydaje się one mogą marginesem, ale sztuka rządzenia polega właśnie na tym, aby konflikty te,

pisarz, socjolog, artysta, reporter, który potrafi dać jego pełny portret? Jesteśmy chyba świadkami zdobywania prawd częściowych, jak również stawiania się robotniczego społeczeństwa w nowych, odmiennych niż dotychczasowe warunkach. Ale pewne jest, że nie może istnieć pełny portret bez uwzględnienia pozostałego czasu, bez sprecyzowania warunków życia, otoczenia, problemów, które co dzień nekają robotnika. Bez wszystkiego, co określa codzienność. Jeśli opisujemy kłopoty i trudności, perspektywa wymaga umieszczenia ich w tle, które je zrodziło. Inaczej portret skazany być musi na jednostronność i sprzyjać fałszywej interpretacji faktów.

MIECZYSLAW GORSKI

## informacje i zaczepki

Już piąty rok z rzędu mieszkańcy woj. łódzkiego zdobywają w akcji zbiorkowej na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy pierwsze miejsce w kraju. \* \* \* Radzimy obejrzeć bardzo ciekawą wystawę plastyczną pod nazwą „Łódź w malarstwie” eksponowaną w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza. Autorowi „Zaczepki” szczególnie podobają się prace Tadeusza Romana, Benona Liberskiego i Albina Lubniewicza. \* \* \* Według przewidywań obliczeń w Łodzi, w czasie trwania Dni Oświaty, Książki i Prasy odbyło się około tysiąca imprez kulturalno-oświatowych. \* \* \* Jubileusz 50-lecia pracy adwokackiej obchodził niedawno mecenas Mieczysław Jaroś. Mecenas Jaroś występował w okresie międzywojennym w zna-

nych procesach politycznych, broniąc oskarżonych m. in. w tak zwanym „procesie brzeskim”.

Dziesięciu łódzkich działaczy kulturalnych otrzymało nagrody od ministra Kultury i Sztuki. Wśród nagrodzonych znajdują się między innymi Regina Ekanowa — dyrektor LDK i Kazimierz Jaworski — sekretarz Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych. \* \* \* W skierniewickiej Wytwórni Konstrukcji Stalowych — inwestycji na kolosalną miarę obowiązująca umowa zbiorowa... warsztatów metalowo-budowlanych. Ładne to warsztaty, które w swoich najbliższych planach mają tysiące ton konstrukcji na potrzeby kraju i na eksport. \* \* \* Powódź dobrych filmów „zagroziła” łódzianom w maju. Właże się to prawdopodobnie z Dniami Oświaty, Książki i Prasy, ale czy nie warto by oddzielić interesującym pozycjami również inne miesiące roku — szczególnie zimą. Bo właśnie zimą często brak interesujących nowości filmowych.

## NAGRODY dla RADIOWCÓW

Wśród laureatów tegorocznych ogólnopolskich nagród Komitetu do Spraw Radia i Telewizji oraz Stowarzyszenia Autorów ZAiKS za twórczość radiową i telewizyjną — znalazło się wyjątkowo wielu redaktorów Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia”. Szczególnie nas cieszy nagroda uzyskana przez radiowców w dziedzinie twórczości literackiej — reportażu dźwiękowego, gatunku bardzo trudnego, wymagającego od autorów wiele pracy, nagrań w terenie itd. Za tego rodzaju reportaż Łódzkie Radio uzyskało nagrodę już po raz drugi. W roku 1957 zdobył ją redaktor — Wacław Bilinski i Tadeusz Szwera za reportaż „Bohaterowie wielkomiejskiej nocy”. Obecnie uzyskał ją redaktorzy — Tadeusz Szwera i Kazimierz Zygmund za reportaż pt. „Nasz listonosz”. Obaj autorzy współpracują z sobą od roku 1953, kiedy to opracowali wspólnie pierwsze literackie reportaże dźwiękowe pt. „Pragnienie miasta” — o budowie rurociągu Pilica — Łódź i „Tam, gdzie mieszkał Boruta” — o odkryciu złóż rudy żelaza w Łęczycy. Od tego czasu opracowali wiele reportaży o naszym mieście i z innych ośrodków w Polsce — reportaży na-

dawanych regularnie w programie ogólnopolskim Warszawy. Popularne były cykle „Na piastowskim szlaku” — „O twórcach ludowych” — „O zamkach, duchach i podziemnych lochach” — a także powtarzany wielokrotnie na życzenie słuchaczy 10-minutowy reportaż „W sercu lasu” — opowieść o ptakach i zwierzętach. Poza wymienionymi laureatami nagrody za reportaż — z łódzkich radiowców otrzymali nagrodę zespołową redaktorzy: Irena Fenigsen, Tadeusz Dobrzyński i Marian Jeżewski z Łodzi oraz Jan Zelnik z Warszawy — autorzy popularnej w całym kraju audycji estradowej pt. „Program z dywanikiem”, znani z estrad i różnych występów nie tylko w Polsce, ale również w Czechosłowacji i w Niemczech. Również nagrodzona została redaktor Irena Stankiewicz, autorka popularnych w Łodzi audycji oświatowych z dziedziny medycyny, techniki, prawa itd. Otrzymała ona nagrodę zespołową wraz z kilkoma redaktorami innych rozgłośni za współpracę i najciekawsze materiały o Polsce opracowywane dla Radia Zagranicznej w języku niemieckim.

J. W.



Obiecałam Panu tę zwiastowaną historię, która mi się kiedyś zdarzyła, właściwie to nie jest ona tak bardzo zwiastowana ta stara historia i nie jest taka stara, tyle że zdążyłam już o niej trochę zapomnieć, to wszystko. Nieraz tak bywa, że się człowiek oswoi z jakąś sprawą i zdaje mu się, że to było nie wiem jak dawno, a potem coś mu strzeli do głowy, zacznie sobie w myśli obliczać i o-

ki, jak to niektórzy mówili i nie miałam powodów, aby płakać przez niego. Był często zalatany, to prawda, szukał pracy, a ona wciąż wy- mykała mu się z rąk. Cza-

cież tak niedorzecznie mło- dy.

To samo było z naszą wy- cieczką, to był zresztą mój pomysł, jemu by to nigdy do głowy nie wpadło, zre-

## Michałowi Targowskiemu

sem lubił sobie wypić z ko- legami — mężczyźni mają swoje sprawy, do których kobiety nie powinny się mie- szać. Myślę, że gdyby tak tkwił przy mnie dzień w

szta skąd mógł wiedzieć, że ten dom na wsi akurat stoi pusty i można tam posie- dzić spokojnie parę dni, nie wywołując niczych plotek. To był mój pomysł, jak

to są tylko takie głupie my- śli, z których się potem śmieje. Bo cóż można tam robić przez cały czas? Leżąc w ciemności i słuchać jak gałąz sosny szura po dachu? To dobre na trzy dni, a po- tem dostaje się od tego kręć- ka. Dziwię się, że stara ko- bieta jeszcze go nie dostała, zresztą, kto ją wie.

To moja babka, ta stara kobieta. Lubi moje wizyty i dlatego mam ten klucz. Mogę tam przyjechać bez uprzedzenia, ile razy ze- chcę, ale oczywiście nie w towarzystwie faceta.

drogę. Dopiero gdy trzeba było skręcić w boczną ścież- kę, wiodącą do mego domu, nie miał wyboru i rzeczy- wiście szliśmy przez ośnie- żony las, jedno obok drugie- go, zostawiając w śniegu głębokie ślady. Już wtedy coś mi kazalo odwrócić się i spojrzeć na te ślady i po- myślałam, że teraz nie mógłby mi uciec, bo ślady zdradziłyby, w którą stronę poszedł. Myślałam o tym jeszcze i wtedy, gdy prze- kręcałam klucz w zamku i otwierałam drzwi.

W domu było zimno i ciemno, inaczej niż zazwy- czaj, tylko od śniegu za ok- nem szła niepewna poświa- ta. Sosny mającymi jak nie- ruchome chmury. Zapali- lam świecę i zaczęłam wy- dobywać z plecaka nasze zapasy. Filip wyciągnął z kieszeni papierosa i rzucił płaszcza na krzesło.

Powiedziałam, że zaraz rozpalę ogień i jeszcze do- dałam, że nie lubię spać w ubranu, a dziś tym bardziej nie mam zamiaru i już szłam po drzewo, gdy Filip się zerwał i powiedział, że mi przyniesie. Wytłumaczy- lam mu, gdzie jest drwalnia — za domem, w lesie, na prawo — i poszedł, a ja się skuliłam w fotelu, tak jak lubiłam i musiałam się chyba zdrzemnąć, bo nagle zagwiz- dał pociąg pod semaforem, a ja spojrzałam na zegarek, i zorientowałam się, że to już dobre pół godziny, od- kład Filip wyszedł. Mignęło mi podejrzenie, że może sko- rzystał z okazji i znowu mi uciekł, ale płaszcza leżał na krześle, tak jak go zostawił, więc pomyślałam, że może błądził i po ciemku nie mo- że trafić do drwalni — aż wtem zrobiło mi się gorąco.

Nie było żadnej drwalni. Przed rokiem zaczęła się walić. Była już do niczego i rozebrano ją, rozebrano całkowicie, nie zostało z niej nawet śladu. To tylko w mojej pamięci trwała tam nadal, jak za czasów dzie- ciństwa, jak przed rokiem, gdy naszkicowałam ją tuszem, pokrzywioną, z zapadnię- tym dachem, aby w ten sposób ocalić ją dla siebie i dla tych, którzy nigdy już nie mieli jej widzieć.

A Filip krążył teraz wo- kół domu, szukając nie ist- niejącej drwalni, krążył wściekły od pół godziny. Czy było to możliwe, aby szu- kał przez tyle czasu, za- miast po prostu wrócić i zrobić mi awanturę? Zresztą przypomniało mi się, że od- kład drwalni nie było, tuż obok domu leżała brzezina w sagach, mógł stamtąd brać, ile chciał.

Wybiegłam na ganek, było jasno, przez chmury mżyło blade światło, chyba księ- żyć był właśnie w pełni. Wi- działam ślady Filipa, wy- rażne w kopnym śniegu, skręcające w prawo za wę- giel domu. Wtem nie uciekł, poszedł, gdzie mu kazałam, pomyślałam z wdzięcznością i ruszyłam obok tych śladów aż do miejsca, gdzie kiedyś była drwalnia i gdzie ślad się urywał.

Pan mi oczywiście nie wierzy. Myśli Pan, że byłam śpiąca, zmęczona i że mi się przywidziało. Ale mówię Panu jeszcze raz, że ślad Filipa ani nie skręcał w bok, ani nie zawracał, tylko się właśnie urywał, dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś były drzwi. Dalej nie było już nic, tylko gładki, puszy- sty śnieg.

Stałam i patrzyłam na ten urywający się ślad i trzę- śtałam się — nie wiem czy bardziej ze zimna, czy ze strachu — stałam chyba z dziesięć minut, bojąc się poru- szyć, a potem cicho po- wiedziałam „Filipie!”. Nigdy nie lubiłam jego imienia i dlatego każde prawie zda- nie zaczynałam od „Słu- chaj!” albo od „Wiesz co?”, ale teraz nie pamiętałam o tym, tylko biegałam wkoło domu i wołałam „Filipie! Filipie!” i czułam, że stało się coś, z czym już nie dam sobie rady, o ile Filip nie przyjdzie mi z pomocą, ale właśnie Filipa nie było.

Obok coś zaszeleściło, stanę- lam jak wryta, ale to tylko wiatr się nagle poderwał i stracił z gąsienic ciążką, białą czapę. Głębiej poczułam, że siły mnie opuszczają, wesz- lam do domu, usiadłam i próbowałam rozważyć to na zimno. Filip mógł — jak to robili Indianie z westernów — iść wstecz po własnych śladach, mógł tak iść aż do drogi i umknąć mi w ten sposób. Ale czy było możli- we, aby zrobił to, pozostaw- iając płaszcza i dokumenty w kieszeni tego płaszcza? Sprawdziłam — był tam do- wód osobisty, jakieś za- świadczenia, pusta portmo- netka — nie, nie mógł uciec bez grosza, w swetrze tylko i z gołą głową. Tego nawet on by nie zrobił. A więc co się z nim stało? Czy zapadł się pod ziemię? Mógł jedy- nie wrócić po swoich śla- dach, iść tak aż do drogi, i znowu docierałam do punk- tu, gdy musiałam powie- dzieć, nie, to niemożliwe, to niemożliwe. Wtem może wśliznął się cichaczem do domu i siedzi ukryty w ja- kimś kącie, aby zrobić mi na złość, tak, chyba to zro- bił, pomyślałam, więc wzię- lam świecę i obezłam wszystkie kąty, ale nie było go nigdzie, był tylko ten ślad, który się urywał przed nie istniejącą drwalnią, był pusty dom i fotel, w którym siedziałam od wieków, ote- piała ze strachu, powtarza- jąc: „To niemożliwe, to niemożliwe, Filipie, to nie- możliwe, Filipie”, nagle zer- wałam się i podbiegłam do okna, musiałam się z nim mocować chwilę, a potem wychyliłam się w noc i wrzasnęłam „Filipie!”, ale tylko wiatr mi odpowiedział.

Wtedy poczułam, że jeśli mam kiedyś dostać kręćka w tym domu, to dostanę go właśnie teraz, o ile nie u- cieknę stąd natychmiast od Filipa, drwalni i od tych przeklętych śladów. Wrzu- ciłam do plecaka nasze nie- tknięte zapasy, wpakowałam porzucony płaszcza i bieglem ruszyłam na dworzec, mię- dzy gosnami, które były te- raz czarne i nastroszone, bo wiatr rozuhał się na dobre i pozmiatał z nich śnieg, kurzył nim w oczy, myślę, że gdy pociąg ruszał ze sta- cji, wiatr zdążył już zawią-zać moje ślady. Moje i tamte koło drwalni.

Udało mi się podzucić w pociąg ten płaszcza. Pa- mięta Pan, ile było domo- słów, gdy go znalazł? Zbudowano kilka teorii, jedna głupsza od drugiej, ale jakoś na szczęście nikt nie skojarzył tego ze mną.

I na tym się właściwie skończyło, tak mi się zda- wało przynajmniej, ale po kilku dniach zachciało mi się odszukać ten szkie i od tej pory mam go stale pod ręką, ten van goghowski szkie drwalni i wcale nie zapominałam o tej starej historii, tak jak to Panu z początku usiłowałam wmówić. Mam stale pod ręką ten szkie, godzinami wpatruję się w niego i po- wtarzam półgłosem „To nie- możliwe, Filipie, to przecież niemożliwe!”.

Bo gdy rysowałam tę drwalnię, jej drzwi były zamknięte, nie było nawet szpary — i tak je naryso- wałam, przysięgam Panu. Ale gdy po powrocie od- nalazałam ten szkie, zobaczyłam, że drzwi już nie są zamknięte — są uchylone, widać szeroką szczelinę i ciemne wnętrza drwalni, tak, drzwi są uchylone, jakby przed chwilą ktoś tam wszedł, może po drzewo, a może tylko po to, aby się u- kryć dla żartu.

Pan mi nie wierzy, do- skonale, od początku spo- dziawałam się tego. Nikt by mi nie uwierzył, toteż nie mówiłam o tym nikomu, gdy pytałam mnie o Filipa. Nie wierzy mi Pan, zgoda. Wtem może Pan obejrzeć ten szkie, chętnie go Panu po- każę i wtedy sam się Pan przekona.

Zresztą warto go obejrzeć. To jest naprawdę udany, bardzo dobry szkie,

# Filip, ślady na śniegu

kazuje się, że to było aku- rat tego a tego dnia, dużo później niż jakieś tam głup- stwa, które się pamięta, jak- by się zdarzyły wczoraj. Słowem to było zimą ubie- głego roku, ta sprawa z Fi- lipem S., zresztą Pan się już może domyśla, o czym chcę pisać i wobec tego do- skonale Pan wie, kiedy się to zdarzyło, tylko że ani Pan ani nikt nie wie, co się właściwie zdarzyło, o tym wiem tylko ja, bo ja go wi- działam ostatnią.

Pan znał Filipa S. Znał- my go oboje, ale Pan spo- tykał się z nim wcześniej, zanim z kolei poznał Pan mnie, a wtedy nie mógł się Pan już spotykać z Filipem, zresztą nikt już wtedy nie mógł się z nim spotykać, z początku było z tego po- wodu sporo wrzawy i do- myśłów, a potem jakoś wszystko poszło w zapo- mnienie. To właśnie wtedy Pan mnie poznał, gdy wrza- wa zaczęła słabnąć, wtedy Pan mnie poznał i pewno nigdy Pan nie pomyślał, że kiedyś mogłam być inna niż teraz, a jednak to prawda. Przedtem lubiłam sobie od czasu do czasu polazić po kawiarniach, wypić i po- tańczyć, a jeśli miałam o- chotę posiedzieć w domu, to też nie po to, aby tkwić w fotelu i patrzeć w ścianę. Po prostu czasem wołałam poczytać, robić na drutach, czy choćby froterować po- dłogi niż patrzeć na bez- myślnie twarze w kawiarni.

I jeśli ktoś Panu mówił, że to z powodu Filipa za- mykałam się co jakiś czas w mieszkaniu, i że tam za- plakiwałam się z nosem w poduszkę — niech Pan w to nie wierzy. Filip nie był ta-

dzień, znudziłby mi się bar- dzo szybko, a ja nie chcia- lam, aby mi się znudził. Słowem, gdy Filip mnie za- niedbował, brałam się do froterowania podłóg i to mi dobrze robiło na nerwy, ale wcale nie byłam ponura ani rozgoryczona. To dopiero ta ostatnia sprawa zrobiła ze mnie odludka.

Podobno wtedy, gdy Filip zniknął, szukała go milicja, rodzina dawała ogłoszenia do gazet, nawet w radio przez jakiś czas powtarzano ko- munikat, pewnie Pan to pa- mięta. Chciało mi się wtedy śmiać i płakać jednocześnie, tak, wtedy to napraw- dę chciało mi się płakać, toteż płakałam po całych dniach, a potem otwierałam moją teczkę z rysunkami i oglądałam szkice drwalni, — „van goghowski szkie”, mó- wili o nim moi przyjaciele, plastycy. Wtem wpatrywa- łam się w ten van goghowski szkie i mówiłam półgło- sem „Filipie!”, a potem wrzeszczałam „Filipie!”, tak jak owej nocy, gdy się to wszystko zdarzyło i wyobra- żałam sobie, że mnie sły- szał, tak jak wtedy, że tyl- ko się nie odzywał na prze- kór.

Tak, on lubił mnie draż- nić, tak jak ludzie drażnią dla zabawy psa albo kota, a potem się dziwią, gdy ober- wają pazurami. Zresztą po chwili znów zaczynają tę samą zabawę i nigdy im się nie przykry. Ale ja nie pokazywałam pazurów, teraz myślę, że to było źle, bo może wtedy zabawa byłaby dla niego ciekawsza. Tak czy owak, jeśli mi dokuczał, to na pewno nie było w tym nic więcej oprócz szcze- nięcej przekory. Był prze-

zwykle, Filip już taki był, że musiał dostać parę sztur- chańców, zanim się na coś zdecydował, ale to wcale nie było tak, jak się ludziom zdawało, że mi się wymykał, a ja biegałam za nim. Zre- szta uważam, że jak się z kimś jest blisko, jak się dwoje ludzi ma ku sobie, czy jak tam kto chce to nazwać, to nie jest ważne, kto za kim biega.

Wtem gdy mu powiedzia- łam, że chcę z nim tam po-jechać, najpierw bardzo się do tego zapalił, a potem zniknął mi na dwa tygodnie i myślałam już, że nie z te- go nie będzie, bo ta wyjąt- kowa sytuacja w domu na wsi miała trwać jeszcze tyl- ko parę dni, a na następną okazję mogłam czekać do-... już Pan wie, dokąd.

To jest bardzo ładny, bar- dzo stary dom. W lecie jest pełen słońca. Jesienią, gdy się wszystko uciśsza, można leżeć godzinami w ciemno- ści i słuchać, jak w dREW- nianych ścianach coś skrzy- pi, jak obsuwają się polana za piecem. Cały dom pach- nie tym suszącym się dREW- nem. Za lasem przelatują pociągi, czasem któryś za- trzyma się pod semaforem i gwizdże raz po raz, i sły- chać głuche stęknięcia lo- komotywy. Potem pociąg ru- sza i znowu jest cicho.

Dobrze znam ten stary dom, mieszkalam tam bę- dąc dzieckiem. Tylko, że wtedy nie był on tak cichy jak dziś. Teraz mieszka tam samotna stara kobieta, która niedługo umrze i dom za- pewne przejdzie wtedy w ręce obcych ludzi.

Czasami myślę sobie, że dobrze byłoby tam pojechać i już pozostać na zawsze, ale

A teraz w domu nie było nikogo i nikt by o niczym nie wiedział, gdybyśmy tam pojechali z Filipem, więc wściekałam się i szukałam go po wszystkich knajpach, aż pewnego dnia sam przy- szedł nie proszony, więc to chyba najlepszy dowód, że nie było z nami tak źle, jak się to ludziom zdawało.

Było z tym trochę kłopo- tu, bo udało mi się go prze- konać, że powinniśmy poje- chać tego samego dnia, im prędzej tym lepiej, jeszcze by mi się znowu gdzie za- wieruszył; pociąg mieliśmy za dwie godziny, więc mu- siałam się nieźle nabiegać, żeby kupić coś do jedzenia na te dwa dni, a na bilety pożyczylam od kogoś już w ostatniej chwili. Pan oczy- wiście myśli, że nie powin- no tak być, ale przecież jeśli Filip stale chodził bez gro- sza, to nie była jego wina, zresztą jak miał, to płacił za mnie w kawiarni, pamię- tam to doskonale, więc nie powinien Pan tak myśleć. Dość, że jakimś cudem zdą- żyliśmy na pociąg i zdawało się, że już teraz wszystko będzie dobrze...

Teraz pewnie Pan czeka nastrojowego opisu, jak o- glądaliśmy krajobraz z okna wagonu, tam gdzie pociąg wjeżdża między pagórki i zaczynają się moje strony, jak potem szliśmy ramie- przy ramieniu wśród ośnie- żonych sosn, tą drogą, któ- rą Panu nieraz opisywałam. Nic z tego. Gdy mijaliśmy ostatnie stacje, było już ciemno, zresztą Filip spał całą drogę, a potem poszli- my nie przez las, tylko przez osiedle, bo Filip nie chciał brnąć przez głęboki śnieg, który zawiął leśną

## MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN



Mówią Ona niedługo umrze  
a ja widzę jak unosi ręce pełne małych  
rzeczy  
przesuwa wazon w miejsce z którego światło  
odchodzi najpóźniej

Mówią Ona niedługo umrze  
a ja widzę jak zdmuchuje płomień zaparza  
kawę  
a w obłoczku pary pachnie jak brązowe  
ziarno

Mówią Ona niedługo umrze  
jeszcze widzę jak biegnie do sklepu po gram  
zapachu  
na jej ręce śnieg topnieje odchodzą gwiazdka  
życia

## WYIMAGINOWANY KRAJ

Jeżeli chciałbym wyjechać to w połyskliwy metal  
klamki

u drzwi czekającej  
kraju miejsce niskich otwórz swoje granice  
daj mi słońca tyle co za paznokciem  
daj mi ścieżek spróbować stopami  
wpuść mnie w twoje wiszące ogrody  
uwiąż spuszczone psy i każ mi wejść  
w krajobraz wysokich metalowych gór  
kraju miejsce niskich otwórz swoje granice  
dla mnie i mojego psa

## KIEDY ANIOŁOWIE OTWIERAJĄ GWIAZDY

A śmierć przychodzi gdy orzech rozgniatam  
z trzaskiem  
A śmierć przychodzi gdy naciskam klamkę  
A śmierć przychodzi gdy zaczynam pojmywać kamień  
Niespodziewanie i nagle  
A śmierć wytrąca z zębów jabłko i kęsem jabłka dusi  
I wtedy właśnie aniołowie otwierają gwiazdy  
Zimne jak na mrozie zostawione żelazo



Przecież kiedyś piękna dziś ułożona z korzeni  
Z rezygnacji linii i z rezygnacji wdzięku  
A kiedyś ręce zapalały kwiaty w środku śniegu  
Wczesnywały we włosy spojżenia od których kłamy  
się tiliły

Dyskretnie rzesz trzepotanie było argumentem  
w dyskusji

O zapachu polityki i głębszym sensie róży  
Przecież kiedyś piękna dziś ułożona z cieni  
Z nerwicy serca i z nerwicy ruchu  
Na ostatnim stopniu u poręczy  
Która nagle się kończy znużeniem



W czasie trwania tegorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy” w Łodzi — obok szeregu najrozmaitszych imprez zorganizowano także kilka bardzo interesujących wystaw plastycznych. Nie wiem i nie wnioskuję, czy zorganizowano je z tej właśnie okazji, czy też był to tylko przypadkowy zbieg okoliczności. To nie jest aż tak istotne. Jakkolwiek by nie było, ważne, że wystawy są, a co najważniejsze, że w pełni odpowiadają aktualnym potrzebom. Jednym z naczelnych zadań naszej polityki kulturalnej, podkreślanych zwłaszcza przy okazji Dni Oświaty, jest popularyzowanie i upowszechnianie sztuk plastycznych. Postulaty te spełnia kolejna wystawa Łódzkiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków.

Zdawać by się mogło, iż Łódź nie jest najlepszym modelem dla malarzy, dość powszechne jest bowiem mniemanie o wątpliwej urodzie naszego miasta. Opinię tej przeczy jednak ekspozycja w Ośrodku Propagandy Sztuki (park im. Sienkiewicza) — wystawa pod nazwą „Łódź w malarstwie”, na której zgromadzono kilkadziesiąt płócien, w większości reprezentujących realistyczny krajobraz miejski.

Pejzaż miejski, zwany wędutą, należał zawsze do tematów szczególnie chętnie przez malarzy podejmowanych, że o tym wspomnieć XVII-wieczne malarstwo holenderskie lub XVIII-wieczne malarstwo weneckie. Szeroko rozpowszechnione w Europie w XIX wieku malarstwo wędutowe uprawiano także z dużym powodzeniem w Polsce, przy czym



B. Liberski — Łódź wolna

## ŁÓDŹ W MALARSTWIE

najczęściej opiewanym przez malarzy miastem była Warszawa, a jej najznakomitszymi monografistami na płótnie byli między innymi Canaletto, Vogel, Alberti, Kozłowski. Mimo wielkich zmian, jakie przyniósł wiek XX zarówno w technikach malarstwach, jak i sposobie widzenia świata i środkach jego obrazowania, tradycją wędutą utrzymywana w konwencji sztuki przedstawiającej, ma jeszcze dziś wielu zwolenników wśród artystów; nie mówiąc o tym, iż większość odbiorców to właśnie zwolennicy szeroko pojętego malarstwa realistycznego. Błędem byłoby jednak sądzić, iż wystawiający w parku Sienkiewicza malarze łódzcy holdują przestarzałej, konwencjonalnej sztuce XIX-wiecznej, i że w twórczości swej nie uwzględniają tych zdobyczy technicznych i doświadczeń artystycznych, jakie wniosła do malarstwa wielka rewolucja plastyczna pierwszych dziesięcioleci naszego wieku. Uprawiają oni co prawda sztukę realistyczną, ale operującą nowocześniejszymi formami wyrazu i daleką od fotograficznego naturalizmu. Często bardzo indywidualne i swobodne potraktowanie formy, śmiałe operowanie kolorem nowoczesnie pojęta kompozycja, interesujące rozwiązania fakturalne — to główne cechy wię-

kości ekspozowanych na wystawie obrazów.

Jak sam tytuł informuje, wystawa tematycznie związana jest z Łodzią. Uczestniczy w niej ponad 30 czołowych łódzkich artystów, którzy przed zwiędzającymi odrywają nie zawsze może dostrzegane uroki oraz piękno wielu zakątków naszego miasta. Operują oni najczęściej — jak w każdej zresztą węducie — typowymi dla miejskiego krajobrazu motywami ulicy, parku, kamienic, fabryk czy całych zespołów architektonicznych. Wśród około 50 jednolitych tematycznie, lecz mocno zróżnicowanych formalnie prac, szczególnie interesujące wydają się płótna Wiesława Garbolińskiego, Józefa Skrobinińskiego, Kazimierza Kędzia i Benona Liberskiego. Artystę ci, łączący temperament z malarstwą wrażliwością, pokazywali kilka naprawdę urzekających pejzaży łódzkich świadczących o dużej kulturze plastycznej i doskonałym wyczuciu tematu. W obrazach ich uderza przede wszystkim — wspólna im — intymna nastrojowość spotęgowana przygaszoną, ciemną gamą kolorów, obwiedzionych wyrazistym, mocnym konturem oraz zharmonizowaną w geometrycznych podziałach kompozycją. Cechy te odnaleźć można zarówno w „Nocnej zmianie”

Garbolińskiego, jak i w „Pejzażu” Kędzia, czy w dwóch „Fragmentach Łodzi” Skrobinińskiego.

Zdecydowanie odmienny gatunek reprezentuje grupa malarzy starszego pokolenia o mniej jednolitym i trudniejszym do sklasyfikowania obliczu artystycznym. U jednych niełatwo doszukać się związków z kierunkami postimpresjonistycznymi czy nawet z samym impresjonizmem, u innych zaś odnaleźć można powiązania z malarstwem „polskiego koloryzmu” i „kaolizmem”. Ich naczelną dewizą jest czysto malarzkie „rozstrzygnięcie płótna”, co wyraża się w operowaniu rozjaśnioną, pełną skalą barw i szlachetną fakturą. Zwracają tu przede wszystkim uwagę impresyjne obrazy Tadeusza Romana o wyrafinowanym kolorze i miękkiej materii malarzkiej („Ulica Armii Czerwonej w Łodzi”, „Park Sienkiewicza”), dalej pełne uroku pejzaży Zenobiusza Poduszko o subtelnych kolorach i delikatnej fakturze („Chojny”, „Fragment źródła”, „Chojny ul. Paradna”) oraz przesycone światłem, o stonowanej barwie, nieco zmonumentalizowane płótna: Konstantego Mackiewicz — „Łódź dziś, jutro” i Feliksa Turskiego — „Elektrociepłownia”. Podobnym dyspozycjom artystycz-

nym podlega twórczość Tadeusza Sprusika („Fragment Łodzi”, „Park Poniatowskiego”).

Nie mniejsze zainteresowanie wzbudzą także dzieła Stefana Justa („Droga do Dworca Fabrycznego”), Oktawiana Dworca Fabrycznego („Zygmunta Hyżego”), E. Groto-Słepikowskiego („MDK Łódź”), Izabeli Niteckiej („Łódź”, „Na przystanku”), Stefana Zarębskiej („Łódź”), Aleksandra Łuby („Park Helenów”) i wielu innych, których nie sposób w ramach krótkiej recenzji zamieścić.

Obok malarstwa czysto pejzażowego, ściśle wędutowego, ekspozycja uzupełnia kilka prac „fabularnych” o podkładzie literackim, dla których źródłem inspiracji były wydarzenia historyczne związane z Łodzią. Są to: B. Liberskiego — „Łódź wolna”, K. Kędzia — „Czerwona Łódź przezwycięża”, J. Skrobinińskiego — „Na wiecu”, T. Romana — „Widzew w 1905 r.”, J. Wasiołka — „1 Maja”.

Staranna jak zwykle ekspozycja, dostosowana do kameralnego charakteru sali wystawowej podnosi jeszcze atrakcyjność tej ciekawej wystawy, świadcząc o dużej żywotności łódzkiego środowiska plastycznego.

Sedno rzeczy  
MARIAN PIECHAL

## O dedykacjach

Tak. Mowa tutaj o dedykacjach na książkach. Bo mogą też być na innych przedmiotach, a nawet częścią ciała. Poznałem kiedyś w Dziwnowie marynarza, który się chwalił sekretnym tatuażem w formie napisu: „Śłodkiemu Pomponikowi — wdzięczna Pętka”.

Nie od rzeczy będzie pomówić nieco szerzej o sensie dedykacji w ogóle z okazji majowych dni, poświęconych szlachetnej propagandzie książki i upowszechnianiu czytelnictwa. W dniach tych za ladą z książkami nie tylko w księgarniach ale i na placach, rynkach, ulicach, skwerach, w parkach i wszelkich innych miejscach publicznych stoja obok sortujących książki księgarzy także dedykujący je nabywcom pisarze. Sam nie jestem zwolennikiem takich przypadkowych dedykacji na chybił — trafił, ale przyznaję, że z ogólnego punktu widzenia, ma to swój głębszy i wiele mówiący sens. O to styka się bezpośrednio pisarz z miłośnikiem jego twórczości — dedykacja na książce kwituje tę czynną sympatię czytelnika i twórcy. Jakiż to piękny i symboliczny gest wspólnego uczestnictwa w wielkim dziele kultury! Wspólnej i wzajemnej niezbędności w rozwoju tej kultury. Bo jeśli bez książki nie byłoby czytelnika, to przecież bez czytelnika nie byłoby książki, a więc i pisarza.

Dzieje dedykacji są starsze, niż dzieje samej książki. Dedykacją był każdy adres życzliwości zwrócony przez twórcę dzieła czy to sztuki, czy też techniki do jego odbiorcy. Weźmy chociażby na przykład ten z pomroku dzieł tw. Kłodek Hammu rabiego, albo Dekalog Mojżesza. Toż to przecież nie innego, jak ogólna dedykacja, skierowana do całej ludzkości, podyktowana dyskretnie subtelnością ku niej sympatią i życzliwością — ku jej poprawie i naprawie.

W ciągu dzieł ról dedykacji na książkach pełniła różne funkcje mniej lub bardziej wzniosłe i doniosłe. Raz była zwykłym pochlebstwem autora dla zjednania łaski mecenasów lub uwagi, albo względów czytelnika, jak to się działo zazwyczaj w starożytności i średniowiecznych czasach ustrojów niewolniczych — innym razem była wyjaśniającym wstępem lub prowokacyjną drwiną i satyrą albo perfidnym wybiegiem przed argusem okiem cenzora, opinii publicznej, przesady lub panującego obyczaju dulszczyzny. Wystarczy przypomnieć przewrotne czolobitną dedykację Jana Lechonia pod adresem cara na „Konradzie Wallenrodzie”, aby go ocalić od konfiskaty.

Ale normalnie i zazwyczaj dedykacja wyraża uczucia życzliwości, sympatii i przyjaźni. A nawet czci i miłości. Weźmy choćby taką dedykację Jana Lechonia na jego „Karmazynowym poemacie”: „Stefanowi Zeromskiemu — najpierwszemu sercu w Ojczyźnie”. Ileż tu w tych trzech słowach uznania, czci i uwielbienia dla pisarza, który stał się krwią i żółcią nie tylko swego pokolenia.

Właśnie w związku z tą dedykacją Lechonia przypomniał mi się pewien rozdział w ostatniej książce Aleksandra Janty pt. „Łosy i ludzie”. Brzmi on: „O Lechoniowskim zbiorze dedykacji autorskich”. Po tragicznej śmierci Lechonia znaleziono w jego pokoju dość pokaźny zbiór ocalałych sprzed wojny książek dedykowanych mu różnymi cza-

sy przez różnych autorów. Widać, jak Lechonia bardzo cenili te dedykowane sobie książki, skoro tuż przed wybuchem wojny wywoził je z Warszawy do Paryża, a z Paryża do Nowego Jorku. Warto przytoczyć niektóre z tych dedykacji choćby dla charakterystyki stosunków, jakie łączyły ich autorów z Lechoniem.

Pomnę kilka bardzo zaszczytnych dedykacji dla Lechonia od Zeromskiego i Daszyńskiego, a przytoczę te najbardziej prywatne. I tak Antoni Słonimski na „Mojej podróży do Rosji” pisze: „Te, Leszek, a ruskiego znasz? Z proletariackim bychym, bychym. Twój Antos”, na powieści „Dwa kołce świata”: „Panu Leszkowi całując go w oba kołce kończący Tolki”, na zbiorze felietonów „W beczce przez Niagara”: „Pana Lechonia wierny sługa mojegożowego pochodzenia, jak Dyogenes w tej beczce, całuję mocno Antos z Warszawy”, a na tomiku wierszy „Droga na Wschód” czytamy: „Temu, który nauczył mnie miłości, związał mnie z życiem, czarem swoich niebieskich oczu, temu, który prostując moje ścieżki, wiedze mnie ku szczytom — memu Prorokowi, Mahometowi, Buddzie, Bramie, bogu Pha, Ra, Aspisowi itd., składam tę wiązankę miast ex voto na ołtarzu jego boskich cierpień i boskiej urody — Antoni Słonimski (Zydy)”.

A oto dedykacja Juliana Tuwima, który się mianował „Gajowym Czarnoleśskim oraz Rotmistrzem I Pułku Pegazów”: „Leszku — goj! Ży! w spokoju. I — jak bida — idź do Żyda. Sam z głowy napisał Julian Tuwim”. A dedykacja Kornela Makuszyńskiego na książce „O duchach, diabłach i kobietach” brzmi: „Gołębowski weneckiemu, koniowi św. Marka, drogiemu czytelnikowi. Leszkowi z uściskiem”. Albo od Wierzyńskiego: „Kochance pierwszych dni Janinie Lechoniównie z całym sercem na gwiazdkę — Kazimierz”. A na poczynnym tomiku awangardowych wierszy pt. „Srub” czytamy: „Janowi Lechoniowi kochankowi mego serca z wyrazami przyjaźni i podziwu Julian Przybysz”. Jest też przytoczona i moja dedykacja między dedykacją Leona Kruczkowskiego, a Czesława Miłosza.

Ale wszystkie — jak powiada Aleksander Janta — rekordy kawalerskiego, czy też kawalerskiego rozpędu bije jednak dedykacja na słynnej w dwudziestolecie powieści „Czarna skrzydła”: „Lechoni! przeczytaj kochany Chanie, świat nie tylko o dupie myśli. Twój Juliusz Kaden-Bandrowski”.

Także oto są najczęściej prywatne zabawy literatów między sobą w dedykację. Mam ci i ja w swojej bibliotece n'ejedną dedykację o podobnym polocie. Ale — póki żyje — muszę być dyskretny, bo „dobry ton tak chce”. Oczywiście dedykacje autorów dla swych czytelników są mniej efektowne, ale czasem równie barwne, zależnie od stopnia znajomości i zażyłości. W każdym razie stwierdzić należy, że dedykacje to jakby osobny rodzaj czy gatunek literacki, o którym wprawdzie krytycy nie piszą, a w którym odzwierciedla się najmniej jeszcze dotąd znana strona „wnętrza” ludzkiego.

odgłosy str. 7



Tadeusz Roman — Ulica Armii Czerwonej



W. Garboliński — Z nocnej zmiany

Fot. A. Dziński



# Aleksander Konicki MUZYKA w KWIETNIU

Proszę nie zdziwić się, że powracam do spraw odległych o całe dwa miesiące — taki już los tego felietonu, że ukazuje się rzadko, a miejsca ma niewiele, więc gromadzą się zaległości.

Cofnijmy się zatem aż do dnia 13 marca, kiedy to w Łódzkim Towarzystwie Muzycznym odbył się recital skrzypcowy Bogdana Pietrzaka przy akompaniamentcie Jerzego Marchwińskiego. Duży i trudny program, czystość intonacji, błyskotliwa technika, wzbudziły aplauz audytorium. Warto też zwrócić uwagę na wyjątkowość osoby solisty. Bogdan Pietrzak liczy sobie 19 lat i oficjalnie studiuje dopiero na I roku PWSM w Łodzi. Tym nie mniej jest on jedynym skrzypkiem, który podjął się opracowania ogromnego programu Konkursu im. Czajkowskiego w Moskwie. Jedyne ze względu na zbieżność czasową z poznańskim Międzynarodowym Konkursiem Skrzypcowym im. Wieniawskiego, trzeba było zrezygnować z tego wyjazdu. Poza tym Pietrzak korzysta ze specjalnego stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki. Od najmłodszych lat jest wychowankiem prof. Franciszka Jamry, który czuwa nad jego rozwojem artystycznym. Oczywiście młody wiek naszego skrzypka ma też ujemne strony, co wyraża się w nie zawsze poważnym stosunku do pracy, pewnej nonszalancji w grze, niedostatecznym jej pogłębieniu. No, ale wszystko to przejdzie winno z czasem.

Obiecującej młodzieży artystycznej na naszym gruncie nie brakuje, brak tylko atmosfery zainteresowania, która pomogłaby w rozwoju najbardziej utalentowanym. Obojętnie przeszło wielu melomanów obok afiszów zapowiadających występ Kwartetu Krakowskiego. Staniem SPAM urządzony w auli PWSM koncert kameralny miał w programie kwartety smyczkowe Haydna, Brahmsa i Ravela. Ceniony zespół, jeden z wielu stale współpracujących, (kraj nasz nie obfituje w trwale egzystujące zespoły kameralne, Kwartet Łódzki należy do wyjątków), prowadzony jest obecnie przez Eugenię Umińską, co mówi samo za siebie. A publiczność nie dopisała. I jak tu się dziwi władzom Filharmonii, że nie chcą podejmować się organizowania imprez tego rodzaju — ostatni w jej sali koncert kameralny Kwartetu im. Borodina z ZSRR miał miejsce 19 września!

Więcej zwolenników ma u nas muzyka chóralna. Znaleźli się słuchacze na jubileuszu chóru „Echo” Karola Prosnaka i na koncercie najlepszych chórów amatorskich Łodzi i województwa (L.T.M.). Pełna sala oklaskiwała wykonanie „Requiem” Mozarta przez chór i orkiestrę naszej Filharmonii przygotowane przez Stefana Marczyka. Ja-

nusza Przybylskiego (solisci: L. Skowron, K. Szostek-Radkowska, A. Bachleda, W. Piłowski). Takich pozycji chciałoby się jak najwięcej. Realne możliwości są jednak niewielkie — chór Filharmonii opracowuje jeszcze IX Symfonię Beethovena, lecz zostanie ona wykonana raczej we wrześniu.

Rzadko widziany w Łodzi, wystąpił w kwietniu Adam Harasiewicz, grając (zupelnie dobrze) Koncert A-dur Liszta z towarzyszeniem orkiestry pod batutą Stefana Marczyka. Artysta zaserwował całą drugą część koncertu ze względu na spodziewane liczne bisy i... rzecz dziwna, nawet sławny Harasiewicz nie zdołał wywołać żywszej reakcji u permanentnie chłodnej, półwieści gliwiej łódzkiej publiczności. A pomyśleć, że parę lat temu zdarzało się, że temperatura owacji skłonić mogła np. Władimira Askenaziego do 13-krotnego bisowania! Gdzież są niegdyśjsze śniegi!

Tegoż wieczoru wysłuchaliśmy z satysfakcją Symfonii G-dur nr 88 Haydna, zaś na ostatnim kwietniowym koncercie widzieliśmy Ormianina Ohana Durlana, dyrygującego I Symfonią swego współrodaka Ter-Tatewosjana. Solistką była Klara Danekta w IV Koncercie fortepianowym Beethovena.

Mieliśmy nadzieję, że w przyszłym sezonie wstrzymamy się już od „cyklów beethovenowskich” po tegorocznym „przekarmieniu” i bardziej odświeżymy repertuar piątkowych koncertów symfonicznych.

Stali bywalcy Filharmonii spotkali się w kwietniu po raz drugi z dyrektorem Stefanem Marczykiem (organizator spotkania — Łódzkie Towarzystwo Muzyczne), który obszernie zaznajomił ich z trudnościami obiektywnymi i innymi zakulisowymi sprawami tej instytucji. Dowiedzieliśmy się też o milej dla zespołu Filharmonii i dla nas, sympatyków, nowinie — o pierwszym zagranicznym wyjeździe do Czechosłowacji.

Sala przy ulicy Narutowicza gościła na początku miesiąca młodych i najmłodszych adeptów muzyki — uczniów Państwowego Liceum Muzycznego i Podstawowej Szkoły Muzycznej. Doroczny koncert szkolny rozróżnił się tym razem od trzech audycji. Prócz solistów-instrumentalistów, wystąpiły zespoły kameralne, chór i orkiestra szkolna. Jakość poszczególnych produkcji świadczyła o rzetelnym wysiłku włożonym w przygotowanie imprezy zarówno przez uczniów jak i pedagogów.

Przy tej okazji trudno nie zwrócić uwagi na smutną drugą stronę medalu, jaką są fatalne warunki lokalowe tych szkół, pracujących w jednym budynku zaadaptowanym „na siłę”, który nadaje się na wszystko inne, tylko nie na szkołę i to artystyczną, mającą kształcić poczucie piękna, zmysł estetyczny. Potrzebny jest gwałtownie nowy, specjalnie pod kątem specyficznych potrzeb Liceum Muzycznego pomyślany gmach.

Możemy dokładnie opisać te ulice. Możemy podać nazwiska chłopów, którzy uciekają na kradzionych motorach. Rozmawialiśmy z nimi. Pokazywali ulice, którymi uciekają. Opowiadali najdrobniejsze szczegóły tej „zabawy”. Zawierzyli nam. Dalismo słowo, że nie sypniemy, że opiszemy tylko sprawę.

\* \* \*

Miejsce zamieszkania — Łódź.  
Rocznik — 1945—46.  
Uczą się. Szkoła ogólnokształcąca. 9—10 klasa.  
Postępy w nauce — dobre.  
Zainteresowania — sport, film, jazz, Hemingway.  
Marzenia? — Magnetofon, podróże zagraniczne (Kuba, Afryka).

Nie piją. Palą, ale nie nalogowo.

Nie lubią — wymądrzania, moralizowania.

Mają zatargi z rodzicami. Kochają się. Przeważnie dziewczęta z tej samej klasy.

Są — dzieci i nieporadni.

\* \* \*

Technikę „pożyczania” motocykli opracowali bardzo starannie. Najpierw przeprowadzają wizję lokalną. Sprawdzają, czy ktoś nie obserwuje motoru, zastanawiają się następnie w jaki sposób i którędy najlepiej uciekać. Potem sprawdzają, czy motor jest w dobrym stanie. Najchętniej „pożyczają” sobie „Jawy”. Nietrudno się je otwiera, łatwo przetrzuca biegi. Są szybkie, nieskomplikowane w obsłudze, zwrotne i wygodne w ucieczce. Motocykle otwierają dorabianymi kluczykami, śrubokrętami, albo po prostu gwoździakami. Są precyzyjni i ostrożni. Motocykl, który nie zapala po trzech „kopnięciach”, zostawiają. Starają się nie narażać...

Wybierają na zabawę czas, gdy ulice są już wyludnione, a w oknach domów zapalają się światła. Najczęściej jeżdżą po mało ruchliwych ulicach przedmieścia. Tam gdzie jest dobra nawierzchnia, gdzie można bez trudu ostro brać zakręty, jeżdżą z maksymalną szybkością, kręcąc ósemki i urządzając wyścigi... Czasem wyprowadzają się też do śródmieścia. Tu czekają na chłopów zupełnie inne emocje. Na każdym rogu milicjant, który w każdej chwili zatrzymać może motocyklistę i sprawdzić prawo jazdy. Tu trzeba umiejętnie



wyszukiwać drogę wśród samochodów, zatrzymywać się na skrzyżowaniach, pamiętać o najdrobniejszych szczegółach przepisów drogowych. Tu łatwiej o „wpadkę”. Ale chłopcy mają opracowane metody ucieczki.

Milicjant zatrzymuje motocykl. Daje znak ręką lub „lizakiem”. Trzeba się zatrzymać. Chłopiec przyhamowuje. Staje nie wylączając motoru. Kiedy milicjant znajdzie się z boku motocyklisty, ten dodaje gazu i na pełnej szybkości ucieka.

Milicjant może najwyżej zapisać numer rejestracyjny motoru. A to nie jest dla chłopów groźne. Wiadomo, odpowiada właściciel. Oni są nieuchwytni. Odstawiają pożyczone motocykle i spokojnie wracają do domu. Nie zostawiają motocykli w miejscu, z którego je wzięli.

EWA SULIBORSKA I ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

To byłoby zbyt niebezpieczne. Wybierają jakąkolwiek ulicę. Reszta należy do służby drogowej. Ona odnajduje „pożyczony” pojazd i zwraca go właścicielowi.

Któregoś dnia chłopcy „pożyczali” sobie motocykl milicyjny, tzw. „emkę”. Działo się to w ruchliwej części Łodzi. Chłopcy po prostu założyli się, chcieli zademonstrować kolegom swo-



ją odwagę i spryt. Z dopasowaniem kluczyka i zapuszczeniem motoru nie było kłopotu. „Emka” bez trudu ruszyła z miejsca i pomknęła Piotrkowską w kierunku

wchodzące w kolizję z prawem!

— Jak bierzemy motor, to się nie zastanawiamy nad tym. Dopiero potem jak się wpadnie, to się żałuje.

— Czy rodzice wiedzą o waszych zabawach?

— Nie, rodzice nie o tym nie wiedzą. A jak zobaczą któregoś z nas na motorze, to się mówi, że jest to motor kolegi.

— Czy w waszej „paczce” są dziewczęta?

— Nie, dziewczęta nie nadają się do tego... Nie, to nie jest dla dziewcząt, to są męskie sprawy. Mężczyzna powinien się narażać... Kobieta musi być... no... kobieta, czuła, tkliwa...

— W wielu łódzkich szkołach są motocykle. Czy w waszej szkole są również?

— Tak, ale jeżdżą na nich nauczyciele. Nas rzadko dopuszczają.

— A gdybyście mieli własne motocykle?

— To nie byłoby już ta-

strzegą tych przepisów... wypadków kradzieży byłoby znacznie mniej, gdyby właściciele je stosowali. Pozostawiony przez wiele godzin bez opieki niezabezpieczony odpowiedni pojazd kusi młodych poszukiwaczy przygód.



Dalsze opinie w tej sprawie:

Działacz harcerski: Potrzebny jest w Łodzi tor gokardowy. Gdyby chłopcy mieli gdzie przeżywać emocje szybkiej jazdy, nie byłoby tych historii...

Stary nauczyciel: „Młodość musi się wyszumieć. Wierzę, że to z wiekiem przejdzie. W trójkę w podobny sposób jeździliśmy na rowerze właściciela piekarni, ale to były dawne czasy”.

Dyrektor szkoły: „Nie wiem o tym, że to uczniowie z mojej szkoły. Chłopców trzeba surowo karać, bo przykład może być zaraźliwy. Trzeba ich odseparować od kolegów. Dla przestępców są domy poprawcze”.

Matka jednego z chłopów: „Ouszem, nie ma go w domu. Nie wiem gdzie chodzi. Mówi, że do MDK, albo do kolegi, ale kto go tam sprawdzi”.

Wszyscy rozmówcy zgodni nie stwierdzali, że zabawa chłopów budzi niepokój. Jest niebezpieczna. Niebezpieczeństwo leży nie tylko w tym, że jest ona w kolizji z prawem. Chłopcy jeżdżą z niedozwolonymi szybkościami. Scigani nie przestrzegają przepisów drogowych. Nie zwracają uwagi na przechodniów. Pędzą chodnikami. Jeżdżą wśród drzew w parku. W każdej chwili mogą spowodować wypadek. Narażają nie tylko własne życie!

\* \* \*

Komenda Milicji nie posiada dokładnych danych statystycznych. W przybliżeniu



ni podano nam liczbę 100. Około 100 razy w ubiegłym roku poszukiwano zaginionych pojazdów. Przed paroma laty było to wypadki sporadyczne. Teraz ich liczba gwałtownie wzrasta, szczególnie w lecie. Wzrasta proporcjonalnie do wzrostu liczby pojazdów. Coraz więcej motocykli stoi zaparkowanych na ulicy. Coraz częściej zdarzają się wypadki kradzieży. Złodziejami bywają również chłopcy. Niedawno trzech zorganizowało „porwanie” motocykla w dzień na jednej z centralnych ulic śródmieścia. Dwóch stało na czatach. Jeden odprowadził pojazd do pobliskiej bramy. Wieczorem chłopcy zabrali go stamtąd, spokojnie przejeżdżając przez całe miasto. Potem rozebrali na części i sprzedali na Czerwonym Rynku. Najstarszy z nich, dwudziestoletni, niedługo stanie przed sądem. Sprawę młodszych już rozpatrzone.

Ale nasi bohaterowie jeszcze bawią się w porywanie motocykli. Pożyczają je sobie na parę godzin. Chcemy być tolerancyjni. Niepokoi tylko pytanie — jakie będą ostateczne rezultaty tych emocjonujących zabaw?

## ZŁODZIEJE MOTOCYKLI

ku placu Niepodległości. Ale jazda nie trwała długo. Po kilkunastu minutach dwie milicyjne „Warszawy” zaczęły chłopcom drogę. Nie było gdzie uciekać. Milicjanci zatrzymali motor. Chłopcy musieli pokazać legitymacje szkolne, wsiąść do wozów i pojechać do komisariatu.

\* \* \*

Kary są surowe. Za pierwszym razem pieniądze (3000 zł), po powtórnym przewinieniu dom poprawczy. Chłopcy są jednak niepoprawni!

\* \* \*

Oto wypowiedzi chłopów spisane z taśmy magnetofonowej.

— Dlaczego to robicie?

— ...Tak dla zabawy. Chciałoby się trochę pojeździć, motocykl drogo kosztuje, prawa jazdy nie otrzymamy, bo jesteśmy za młodzi, więc tak bierze się i jeździ...

— Ale przecież przywłaszczenie cudzej własności nawet na kilka godzin, to po prostu kradzież!

— My tego nie uważamy za kradzież! Kradzież według nas, to gdy ktoś weźmie motor, przemaluje go, rozbierze na części i sprzedaje. A my oddajemy motocykl. Staramy się ich nie uszkodzić. Zabezpieczamy przed zniszczeniem. Wylączamy paliwo, aby benzyna nie zalała zapłonów... dla nas to nie jest kradzież.

— Co w tej zabawie jest najbardziej frapujące? Jazda, szybkość?

— ...Może i szybkość, ale najbardziej emocjonujące to jest niebezpieczeństwo. Sam moment „pożyczania” motoru, ucieczki „przed milicjantami”. Czasami specjalnie jedziemy na milicjanta, aby go wystrychnąć na dukt. To daje satysfakcję... właśnie to niebezpieczeństwo... bo w Polsce nie ma dzięki Zachodowi — nie ma przygód w wielkim mieście, więc to traktujemy jako przygodę.

— Ale są to przygody



Zdaniem milicji winę ponoszą także właściciele pojazdów. Nie przestrzegają obowiązujących przepisów o zabezpieczeniu pojazdu przed kradzieżą. Motocykl powinien być zamknięty na kłódkę, powinien mieć urządzenie, które uniemożliwia włamanie motoru. Funkcjonariusze milicji drogowej stwierdzają — „niewiele właścicieli pojazdów prze-



A simple line drawing of a person sitting in a chair, holding a long stick with three small cups or bowls attached to it. The person is wearing a striped shirt and has a small, round head. The chair is a simple four-legged stool. The drawing is done in a minimalist, sketchy style.



**Shaw** (sch.) (George Bernard, \* 26.7.1856, London) Dramatiker, kämpfte in seinem Drama (soz. Romanen) geg. gesellschaftl. Ungerechtigkeiten u. Geschlechtsverhältnissen. *Helden, Frau Warrens Gericht, Caesar u. Cleopatra, Candida, Mensch u. Urmensch, Die heilige Johanna*; Nobelpreis 1925.

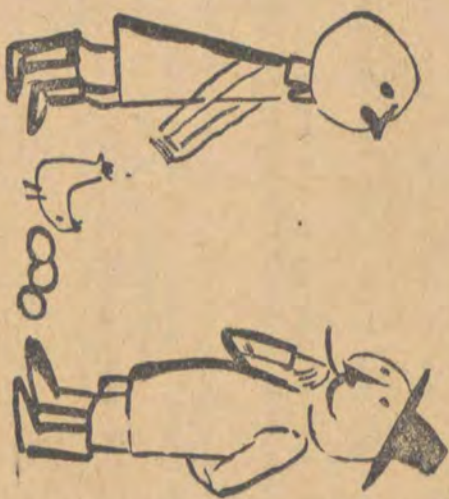
# MAGDALENA

A black and white sketch of a person's head and shoulders, looking upwards with arms raised, framed by a simple rectangular border. The drawing is done in a loose, expressive style with heavy black lines. The person's hair is depicted with dense, scribbled lines, and their face shows a contemplative or upward-looking expression. The arms are raised, with hands near the top corners of the frame. The entire sketch is contained within a rectangular border, which is part of a larger page layout.

odgłosy str. 9



A tramp asked a farmer for work. The farmer said:  
— You can gather eggs for me if you don't steal any.  
The tramp answered with tears in his eyes:  
— Sir, you could trust me with anything on earth. For twenty years I was manager of a bath-house, and I never took a bath!



— Can I help you, sir?  
— Yes, please. I want a new shirt.  
— What size do you take, sir?  
— 15. Will you show me some, please?  
— Certainly, sir. I've got them in several colours. Red, blue and white. Do you like this one?  
— Yes, it's a nice one. But I don't like the colour. Do you have it in grey?  
— Certainly, sir. Here you are.  
— I like it very much. How much is it?  
— Four and eight, sir.  
— All right, I'll take it.  
— Thank you, sir. Do you want anything else?  
— Yes, please. I want some wire.  
— Well, the department for wire is upstairs. The stairs are over there, near the corner.  
— Thank you very much.



# — 38 —

Es war ein schöner Frühlingsstag. Ich war in Wien und ging in ein Kaffeehaus. Ich bestellte einen Kaffee, nahm eine Zeitung und wollte etwas lesen. Aber in diesem Moment kam eine junge und sehr schöne Dame in dieses Kaffeehaus. Sie setzte sich auch an einen Tisch und bestellte einen Kaffee.

Die Dame war so schön, dass ich meine Zeitung nicht lesen konnte. Ich schaute die ganze Zeit nur auf sie. Die Dame wurde etwas nervös, nahm aus ihrer Handtasche einen Bleistift und einen Zettel und schrieb etwas auf diesen Zettel. Dann rief sie den Kellner und gab ihm den Zettel.

Der Kellner kam zu mir und gab mir den Zettel. Aber er war in einer Sprache geschrieben, die ich nicht verstehen konnte. Ich rief den Kellner und fragte:  
— Sprechen Sie nur deutsch, oder kennen Sie auch andere Sprachen?

Der Kellner antwortete:  
— Leider, ich verstehe nur deutsch. Aber der Direktor kennt alle Sprachen der Welt.

Ich dankte dem Kellner und ging zum Direktor. Ich zeigte ihm den Zettel. Der Direktor las ihn und sagte:  
— Mein Herr, verlassen Sie sofort mein Lokal!

Ich wollte noch etwas sagen, aber der Direktor wiederholte:  
— Verlassen Sie sofort mein Lokal!  
Ich ging in mein Hotel. Ich fragte den Portier:  
— Sprechen Sie nur deutsch, oder kennen Sie auch andere Sprachen?  
Der Portier antwortete:  
— Leider, ich verstehe nur deutsch. Aber der Direktor kennt alle Sprachen der Welt.

Ich dankte dem Portier und ging zum Direktor. Ich zeigte ihm den Zettel. Der Direktor las ihn und sagte:  
— Mein Herr, verlassen Sie sofort mein Hotel!

Ich wollte noch etwas sagen, aber der Direktor wiederholte:  
— Verlassen Sie sofort mein Hotel, oder ich rufe den Polizisten!

Ich war sehr traurig. Ich nahm meine vier Koffer und ging auf die Strasse. Dort bemerkte ich einen Polizisten. Ich fragte ihn:  
— Sprechen Sie nur deutsch, oder kennen Sie auch andere Sprachen?

Der Polizist lachte und antwortete:  
— Mein Herr, ich kenne fast alle Sprachen der Welt. Ich zeigte dem Polizisten den Zettel. Er las ihn und sagte:  
— Mein Herr, gehen Sie sofort weiter!

Ich wollte noch etwas sagen, aber der Polizist wiederholte:  
— Gehen Sie sofort weiter!

In diesem Moment erinnerte ich mich daran, dass ich einen Freund in Wien habe. Ich ging also mit meinen vier Koffern weiter. Mein Freund wohnte im fünften Stock. Ich war sehr müde. Ich klingelte. Mein Freund öffnete die Tür. Wir begrüßten uns sehr herzlich. Dann fragte ich:  
— Sprichst du nur deutsch, oder kennst du auch andere Sprachen?

Mein Freund antwortete:  
— Mein Lieber, ich kenne doch einige Sprachen. Aber was willst du?  
Ich erzählte dem Freund alles.  
— Also zeige mir den Zettel, — sagte mein Freund. Ich suchte den Zettel in allen Taschen und konnte ihn nicht finden.  
— Mein Lieber, — sagte ich, — Ich sehe, dass ich den Zettel verloren habe!

## Dalszy ciąg ze str. 9

łyśmy taksówkę, która szła w kierunku Placu Wolności i podałyśmy adres Długiego. Taksówkarz był młody, wesół i chciał nas bawić rozmową, ale Mariola osadziła go, na miejscu. Uważała, że nie warto darmo strzepić języka. Więc dodał gazu, jakby się nas chciał najszybciej pozbyć. Objechaliśmy wokół pomnik Kościuszki, mignęła nam w przełocie Piotrkowska, pełna neonów, jak gęba starszej pani upstrzonej srebrnymi plombami i wpadliśmy na Nowotki. W niecałe dwadzieścia minut byliśmy już przed domem Długiego. Mariola zapłaciła, szofer był dotknięty i nie odezwał się do nas ani słowem. Kiedy zapalił światło, zobaczyłam jego twarz i nawet mi się spodobał. Załowałam, że nie zapamiętałam numeru taksówki. Byłam zła na Mariolę, że jest taka ośchła dla obcych. Nigdy nie wiadomo, kto się może w życiu przydać.

Chłopaki jeszcze nie przyszli, więc uznałyśmy, że najlepiej będzie, gdy się położymy spać. Przedtem jeszcze zagrzałyśmy sobie wody i porządnie wykapały. Bardzo lubię się kąpać i rzadko kiedy idę spać, nie umywszy sobie nóg, rąk i twarzy. Wole nie zjeść, a umyć się. Po kąpieli rzuciłyśmy się na tapeczan. Zasnęłam natychmiast, ale męczyły mnie okropne sny. Mam taką naturę, że często we śnie przeżywam wydarzenia dnia. Mówiłam o tym lekarzo-

wi więziennemu. Prosiłam go o tabletki. Żeby zasnąć i zapomnieć o wszystkim. Najczęściej mającą mi się okropnie katastrofy. Trzęsienie ziemi albo coś w tym rodzaju. Albo że mnie ktoś goni i chce mnie zabić. Lekarz pytał się, czy zauważyłam, że w tramwaju albo na ulicy ktoś patrzy na mnie podejrzliwie. Albo czy daje mi jakieś znaki. Odpowiedziałam, że nie. Owszem, często patrzę na mnie mężczyźni, ale nie tak, jak lekarz myślał. Co to, to nie. Wariatka jeszcze nie jestem. Otóż męczyłam się bardzo tej nocy. A najgorszy sen miałam taki: jechał mi samochód Długiego. Wóz prowadził Długi, w tyle siedziała Mariola i ja. Oprócz nas były jakieś zamazane twarze. Znajome i nieznajome. Samochód był pełen chłopaków i dziewcząt, ale zapamiętałam tylko Mariolę i Długiego. Szosa była równiutka, asfalt gładki i czarny jak polerowany marmur. Poczatkowo jazda była prześlizgnięta. Unosił mi się prawie w powietrzu. Było bardzo przyjemnie. Chciałam, aby ta jazda trwała jak najdłużej. Ale zaledwie o tym pomyślałam, na masce samochodu zobaczyłam Czeska. Samochód jeszcze płynął, my płynęliśmy i Czesiek też płynął. Ale czułam, że to już ostatnie sekundy. Czesiek nagle zniknął i zobaczyłam go na drodze. Stał, uklonił się nam, ale zamiast swojej czapki, zdjął swoją głowę i schował ją pod pachę. I w tej chwili nasz samochód rozsypany się, jakby był zbudowany z tysiąca klepek. Zaczęłam krzyczeć.

Mariola pochyliła się nade mną. „Cóż ci to Magda? Co się stało?” „Och, Mariola, miałam okropny sen!” „Nie bądź głupia, śpij”. Przytuliła się do mnie i objęła za szyję. Ale już nie mogłam zasnąć. Wybiłam się kompletnie ze snu. Była trzecia lub czwarta nad ranem.

Wstałam i ubrałam się po ciuchu. Zaczęłam przychodzić do siebie. Sen pozostawił przykre wspomnienia, ale przewyciężałam go z każdą sekundą. Po paru minutach byłam już, jak mówi Boruta, okey. Zaczęłam nawet kombinować, jaki kawał zrobić Marioli, która spała jak zabita. Może by jej pomalować nogi atramentem? Albo włosy upiąć w jaki węzeł, żeby potem nie mogła rozplatać? Aż mi się na śmiech zebrało, kiedy przedstawiłam sobie Mariolę po przebudzeniu. Potem pomyślałam sobie, że dobrze byłoby zadzwonić do kogoś. Może do Iśki? Albo do ciotki na Chojnach. Ciotka jest fajną kobietą. Wolalabym, żeby ona była moją matką. Potrafi mnie lepiej zrozumieć. Jest wdową po elektryku, pracuje w Dzierżyńskich, posiada drewniany domek z kawałkiem ogrodu. Bardzo ładnie jest u ciotki. Zwłaszcza wiosną i latem. Jak na wsi. Mówiłam panu, że przepadam za zielenią. Ciotka bardzo mnie lubi i ja lubiłam przebywać u niej. Albo — myślałam — zadzwonię do tego gościa, który pierwszy miał ze mną romans. Pamiętałam jego numer, mam wielką pamięć do cyfr. Potrafię zapamiętać trzy kolejki skreślone w Totolotka. Zadzwonię więc do niego, myślałam, niech się żona obudzi, niech mnie usłyszy. Już ja potrafię im parę ładnych zdań wygarnąć. Dopiero będzie draka, kiedy gość zacznie się tłumaczyć przed żoną. Podniosłam słuchawkę, ale nakręciłam numer Iśki. Po paru sygnałach usłyszałam zasnany głos Iśki: „Halo!” I znów nowe „Halo!”. Odłożyłam słuchawkę.

Mariola się obudziła: „Cóż ty, wariatko, wyprawiasz?” — powiedziała. „Dzwonię — odparłam. — Chciałam sobie pogadać”. „Już nie wiem, kiedy jeszcze gorsza — odpowiedziała Mariola — kiedy śpisz, czy kiedy wstaniesz”. „Nudzę się

— rzekłam. Wybiłam się ze snu i nie wiem, co teraz robić”. „Powiedz się — poradziła Mariola. — Pochowamy cię obok Taty. Zamówię orkiestrę, kwiaty. W gazetach dam ogłoszenie”. „To nie dla mnie. Zaproponuj Borucie. On lubi rozgłos. Będzie ci wdzięczny”. Po chwili dodałam: „Słuchaj Mariola, naprawdę się nudzę. Co będziemy dzisiaj robić? Tego nie można już dłużej znosić. Jeżeli coś nie wymyślisz, to chyba się powieszę, jak radzisz”. „Ależ kochanie — rzekła Mariola. — Rób, jak ci się podoba”. „Naprawdę się powieszę” — powiedziałam. „E, cóżko, nie musisz robić ze mnie balona. Powiedz lepiej czy ci odpowiada propozycja Pelagii. Kto wie, czy to nie jest najlepsze wyjście? Popozować trochę a potem tylko zgarnąć forsy do worka. Wiedziałam, co w trawie piszczy, kiedy Długi mówił ci o tym pozwaniu. Boruta też wiedział o tym”. „Nie przypominaj mi tego kretyna — zawołałam. — Nie chcę mieć z nim nic wspólnego”. „A co z Pelagią?” — sondaowała dalej Mariola. „Zobaczmy. A ty byś nie zechciała?” „Ależ naturalnie, ja także — odparłam. — Myślałam o tym. To jest niezły interes. Zbijemy forsy i wydamy się za żony”. „Co mówisz, Mariola! Ty byś wyszła za żonę?” „Co myślisz? Gdyby Tato nie wpadł pod samochód...”. „Poszłabyś za Tatę?” „Poszłabym”. „Ale Tato już nie ma”. „Podamy ogłoszenie do „Expressu” — rzekła Mariola. „Dwie młode, sympatyczne, zgrabne, ze średnim wykształceniem poszukują wiernych towarzyszy życia. Dyskrecja zapewniona”. „Zobaczysz, frajerów nie braknie”.

W tej chwili zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę. „Halo, Mariola, Magda? Jesteście w domu? Mówi Narcyz”. „Mówi Magda. Co nowego, Narcyz? Dlaczego dzwo-

nisz?” „Jesteście same?” „Ależ tak. Dlaczego pytasz?” „Bądźcie gotowe. Zaraz przyjdę”. Narcyz położył słuchawkę. Usłyszałam wyraźny trzask. „Dzwonił Narcyz — powiedziałam do Marioli. — Mówi, żebyśmy były gotowe. Zaraz przyjdzie”. Mariola nie traciła czasu. W niecałe trzy minuty była już ubrana. „Obawiam się — powiedziała do mnie — że będziemy musiały pryskać”. „Czy to coś poważnego, Mariola?” — zapytałam. „E, cóżco — odparła Mariola — Nie musimy się okłamywać. Po coż by nas Narcyz alarmował?”. Nie muszę panu opowiadać, jak by-

łam przejęta i przestraszona. No, powiedziałam sobie, wyszło mi się wszystko. Nie wierzyłam w sny, a przecież moje sny zawsze się sprawdzały. Zwłaszcza te, z tragicznym zakończeniem. Zrobiło się widno. Rano było szary i zimny. Okna zachodziły mgłą. Przez okna słychać było życie budzącego się miasta. Dzwoniły daleko tramwaje, słychać było autobusy. Kiedyś indziej zachwycałabym się tym dalekimi, niepewnymi odgłosami życia. Ale teraz, po telefonie Narcyza! Wszystko mnie dra-

D. & B.







W Anglii ponad 3/4 rodzin posiada odbiorniki telewizyjne. Można stwierdzić, że cała pewność, że telewizor jest tam przedmiotem codziennego użytku. Najwięk-



# TV w Domach Akademickich

Około połowa młodzieży studiującej w naszym mieście mieszka w Domach Akademickich. Telewizja z pewnością ich interesuje, ale jak do nich dociera?

Osiadłe Domów Akademickich przy ul. Lumumby skupia młodzież z Uniwersytetu Łódzkiego, Akademii Medycznej i Politechniki Łódzkiej. Znajduje się tutaj pięć Domów Akademickich. W każdym z nich do dyspozycji studentów oddany jest jeden telewizor. Dla około 3 tysięcy studentów jest pięć (!) odbiorników telewizyjnych. To stanowczo za mało. Co prawda, każdy telewizor ma osobne pomieszczenie, mogące skupić do kilkudziesięciu osób, ale to na pewno nie rozwiązuje sprawy. Często się zdarza, że gdy jest ciekawy program, nie wszyscy mogą go obejrzeć, ponieważ pomieszczenie z telewizorem nie jest w stanie zmieścić wszystkich chętnych. Czy nie można powiększyć liczby telewizorów do przynajmniej dwóch w każdym DA?

Inna, nie mniej ważna sprawa dotycząca TV w Domach Akademickich, są naprawy telewizorów. Tylko jeden „akademik” posiada w rezerwie drugi odbiornik. W innych — drobnych napraw dokonują etatowi elektrycy Domów Akademickich. Gdy jednak nastąpi poważniejsze uszkodzenie, wówczas kilkuset studentów nie może obejrzeć programu przez tydzień, a nie raz i dłużej.

Jak z tego widać, sprawy telewizji w DA nie wyglądają tak, jakby studentom sobie życzyli. Oczywiście, winą nie leży po ich stronie (choćby trochę aktywności wśród nich przydałoby się). To nie są telewizorzy, którzy biernie odbierają program. Każdy ciekawszy jego punkt jest dyskutowany przez studentów. Dyskusje takie toczą się do tychczas w kręgu jednego pokroju. Czy nie dałoby się ich przenieść na szersze forum? Obecnie istnieje w ZSP klubek na tworzenie wszelkiego rodzaju klubów. Przed kil-

koma tygodniami został otwarty Klub ZSP w III DA. Czy nie można by w ramach tego Klubu założyć (jako jedną z jego komórek działani) Kola Przyjaciół Telewizji? Młodzież skupiona w takim Kole, mogłaby dyskutować nad oglądanym programem, czy to bezpośrednio po jego obejrzeniu, czy też omawiając program minionego tygodnia, lub sygnalizując ciekawsze pozycje tygodnia bieżącego. W ramach takiego Kola można organizować spotkania z ludźmi TV, z którymi przedyskutowano by wiele spraw dotyczących naszej TV. Przy utworzeniu takiego Kola niewątpliwie do powiedzenia miałyby ZSP, a bezpośrednio wyżej wspomniany Klub w III DA. Ruch tego rodzaju Kół dopiero u nas „raczej”, ale moim zdaniem dużą rolę powinni w nim odegrać studenci. Gdyby powstało jedno Kolo Przyjaciół TV wśród studentów, to za nim powstałyby inne (może w klubach ZMS?). Rozmawiałem w tej sprawie

z wiceprzewodniczącym RO ZSP p. Konopińskim i kierownikiem kulturalno-oświatowym RO ZSP przy UL p. Kawka. O ile p. Konopiński nie widzi w tej chwili możliwości powstania tego rodzaju Kola, to p. Kawka widzi Kolo Przyjaciół TV czy Dyskusyjny Klub Telewizyjny, jako jeden z odcinków pracy kulturalnej. Apeluje on do Rady Mieszkaniowej (w tym wypadku III DA) o stworzenie komitetu, który zająłby się tą sprawą i przedstawił swoje propozycje RO ZSP. Tylko od samych studentów zależy teraz, czy będą powstały w DA kolo telewizyjne. Mogą się tym zająć na swych zebraniach Rady Mieszkaniowej w poszczególnych DA. Moim zdaniem należy żałować, że ZSP czeka na inicjatywę Rady Mieszkaniowej, a samo nie wykazuje zapału do tej inicjatywy, ograniczając swoją rolę tylko do udzielenia pomocy. A może zrobi to szybciej ZMS? Czekamy na wyniki. **TADEUSZ WIĄCEK**

## polecamy audycje

W czwartek (17.V.) miliończy muzyki poważnej z pewnością ścisną się przy telewizorach by usłyszeć (i obejrzeć) koncert symfoniczny z Pragi (w programie Szołakowicz i Galyński) o godz. 20.00. Wysegi Polki z ziemi w tym dniu „Spokasie ze zwycięzami” o godz. 22.00. Na czoło programu piątkowego (18.V.) wysuwa się film fabularny prod. USA „Dzieje jednego konwoju” (godz. 20.35). Akcja jego rozgrywa się w przeważającej części na morzu, w czasie ostatniej wojny. Film ten nie zalicza się do wielkich osiągnięć artystycznych, ale posiada za to inny walor — jest bardzo ciekawy. Swą olbrzymią popularność zawdzięcza również świetnym aktorom — Humphreyowi Bogartowi i Raymondowi Maysowi. Dobrze się stało, że TV postarała się o przypomnienie tego filmu.

W sobotę (19.V.) ujrzymy o godz. 20.30 melodramat prod. francuskiej „Odwieczny konflikt”. Tytułowym odwiecznym konfliktem jest tu konflikt jednostki i społeczeństwa. Treścią

filmu jest historia naukowca, który na skutek tragedii rodzinnej porzuca dom i zostaje cłownikiem cyrkowym. W roli głównej zobaczymy Fernandę Ledoux oraz Annabelle, Lonsa Salona i Michela Aucalra. Film ten na pewno nie należy do największych osiągnięć Georges Lampina. O godz. 22.25 zobaczymy komedię W. Dybbelowa i M. Słobochy „Pozwólcie mi zamieszkać”. W rolach głównych wystąpią: Zbigniew Cybulski i Jarema Stępiecki. Może nareszcie coś rzeczywiście zabawnego?

Niedziela (20.V.) nie obfituje w zbyt ciekawy program. O godz. 19.00 — koncert symfoniczny z „Praskiej Wiośni”. Pozycja wyróżniająca się jest film fabularny produkcji hiszpańskiej „Główna ulica” (godz. 20.35). Nie należy on do łatwych, ale posiada wysoki rangę artystyczną. Jest to jedna z najlepszych filmów znanego i cenionego reżysera, J. Bardena. W roli głównej amerykańska aktorka Betsy Blair.

„TELEMAN”

## NASZ WYWIAD

Janusz Rzeszewski — reżyser telewizyjny, ostatnio otrzymał nagrodę zespołową prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji za cykl audycji rozrywkowych pn. „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna”.

— Rozrywka jest pańskim rzemiosłem. Od jakich czynników wobec Pana uzależniony jest niezmienny od lat poziom tego rzemiosła? — pytam Janusza Rzeszewskiego.

— Poziom audycji TV uzależniony jest przede wszystkim od tekstów i aranżacji muzycznej. I choć mamy na przykład dobrych kompozytorów, brak nam jest z kolei pomysłowych aranżerów. Rola aranżera jest w tej chwili równa niemal roli kompozytora. Dowodem tego niech będzie fakt, że na kopertach płyt wymieniany jest on obok kompozytora jako jeden z autorów. Natomiast jeśli idzie o teksty, to teatry, a tak że teatr telewizyjny, adaptują przede wszystkim gotowe, uznane dzieła, w przeciwieństwie do nas, gdzie w ciągu miesiąca trzeba zrobić nowe teksty i muzykę do całej 45-minutowej audycji.

— A czy nie uważa Pan, że przyczyna tkwi również w powikłaniach personalnych. Ludzie poważni zajmują się bowiem często sprawami niepoważnymi, a osobnicy niepoważni rozstrzygają problemy tragiczne?

— Nie sądzę, ostatnio dominuje przecież kult fachowości, któremu nawet telewizja się nie oparła.

— Spotkałem się z opinią, że w swych audycjach rozrywkowych lansuje Pan przeważnie wykonawców spoza Łodzi. Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie?

— Faktycznie, spotykam się dość często z tego typu zarzutami. Ale niestety, poziom audycji związany jest przecież z poziomem wykonawców i w ich doborze nie można się kierować jedynie względami partykularnymi. W Łodzi istnieje na przykład Wytwórnia Filmowa, a nikt jednak nie ma pretensji do re-



JANUSZ RZESZEWSKI

żyserów filmowych, że do swych filmów angażują aktorów spoza Łodzi.

— Czy to prawda, że telewizja jest młoką chałturą dla piosenkarzy i aktorów estradowych?

— Chałtura kojarzy się nam w pewnym sensie z grubszą gotówką, a biorąc pod uwagę niskie stawki, naszym piosenkarzom często nie opłaca się brać udziału w audycjach telewizyjnych.

— Czyżby więc audycje rozrywkowe robione były sposobem gospodarczym?

— Do pewnego stopnia... tak.

— Co jest największą wadą audycji rozrywkowych?

— Brak dobrych pomysłów.

— A co jest największą wadą audycji telewizyjnych w ogóle?

— Brak czasu na przeprowadzenie prób. Film kręci się pół roku, teatr przygotowuje spektakl trzy miesiące, a audycje telewizyjne przygotowujemy w ciągu kilku dni.

— A zaleta telewizji?

— Premierowość. Proszę sobie wyobrazić, że telewizja nadaje codziennie 6 godzin premier.

# GUSTY i GUŚCIKI

Są różne, jeden lubi akurat to, a drugi zupełnie coś przeciwnego, i jeżeli dogodzić pierwszemu — drugi poczuje się co najmniej obrażony. Tak właśnie jest z nami — telewizjami, i ponim — widzami. W trzecie Salomona, aby poszukał godnego wyjścia z sytuacji, wyspekulował uniwersalną formułę na przyrządzanie takiego programu telewizyjnego, który by wszystkim odbiorcom odpowiadał, podobał się, dostarczał satysfakcji ich wszelkim możliwym zainteresowaniom, upodobaniom i gustom. Ale Salomon żył dawno i dawno do legendy przeszedł, nowego wciąż brakuje, zaś telewizja zmuszona jest lawirować między młotem, a kowadłem.

Młotem są widzowie, kowadłem — naczelne funkcje i założenia telewizji.

Presja tzw. masowego konsumenta stale przybiera na sile. Demokratyczno-komercyjne hasło: „Klient ma zawsze rację” stało się plagą społeczną. Przyczyna nieporozumień polega właśnie na stosunku odbiorcy programu telewizyjnego do twórcy programu. Odbiorca czuje się klientem, i to nie byle jakim — klientem: panem, uzurpatorem. Odbiorca zapomina, że telewizja nie jest instytucją handlową, nie jest też zakładem produkcyjnym, a stąd — nie podlega prawom komercjalizmu. Odbiorca jest klientem tylko w momencie nabywania telewizora (ale klientem nie telewizji, tylko sklepu, w którym dokonuje zakupu). Tymczasem hasło „Klient ma zawsze ra-

cję” odbiorca odnosi i sformułowuje z całą bezwzględnością do twórcy telewizyjnego. Ponadto, odbiorca czyni odpowiedzialnym twórcę za jakość swego aparatu, za jego wady, za to, że obraz miga, a głos „wyskakuje”, że nawaliła lampa kineskopowa. Odbiorca stosuje wobec twórcy twórczego identyczne zasady, na podstawie których zwraca w restauracji danie obiadowe.

Tak to jest, niestety, z nami — widzami. Dwie próbki listów — a także przeważają zarówno w treści „merytorycznej”, jak i formie „retorycznej” — zacytowałem w poprzednich numerach.

Choćby TV „świadczył usługi ludności” — nie wolno traktować jej (jak to dzieje się do tej pory) jako punktu usługowego. Telewizorzy zapominają o funkcji TV, jednak TV musi o niej pamiętać (czasami zdarza się mały relaks, to prawda, ale jeszcze nie reguła).

Telewizja musi chociażby prowizorycznie zaspokajać

gusty około czterech milionów osób — gdyż w takiej liczbie szacuje się aktualną ilość odbiorców TV, a jednocześnie nie wolno jej popaść w kolizję ze swoją funkcją, która będzie (miedzy innymi: oczywiście!) krzewienie kultury, podnoszenie masowego standardu gustów. Za tym się kryją zadania telewizji: powinna ona kształcić, edukować, wychowywać, oddziaływać kulturalnie, politycznie, światopoglądowo i tak dalej...

Dlatego, gdyby na przykład TV zechciała uwzględnić żądania pewnej części swoich odbiorców, którą zaprezentował ob. Piasiecki, popadłaby w sprzeczność z podstawowymi założeniami o roli i znaczeniu TV. Gdyby ślepo zastosowała się do nalegań wszystkich sportowych kibiców, zwolenników, zapaleńców i fanatyków sportu, telewizyjny program dnia, ba, tygodnia! ułożyłby się następująco: transmisja meczu piłki nożnej, transmisja meczu koszykówki, dżudo, zapasów, szermierki, wywiad

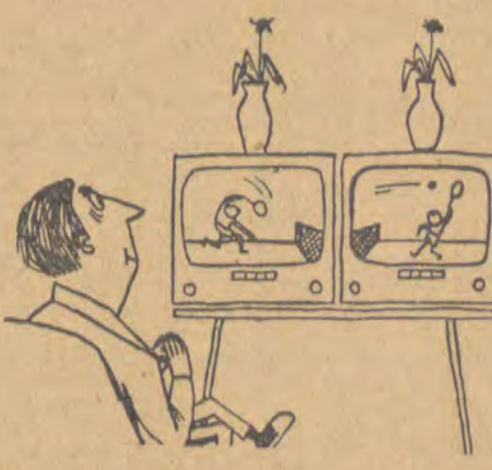
ze sportowcem, wywiad z byłym sportowcem, wywiad ze znaną sportową pogadanką o roli sportu, film o tematyce związanej ze sportem, telefornie sportowy i dla urozmaicenia: „występy orkiestry mandolinistów pod dyktando ob. Ciukczy”.

Każdy telewizyjny pragnie mieć monopol dla swoich upodobań. Jeden żąda „więcej filmów lekkich”, drugi wola: „my lubimy filmy psychologiczne”, następny pisze: „więcej jazzu!”, inny domaga się „więcej regionalnych zespołów i muzyki ludowej”, tancerz zgaduje: „zgadule co drugi dzień, inni postuluja: precz z teletur-niejami!”

No więc: czy nie jest to błędne koło?

Chyba tak — bo utopia będzie pogląd, że czteromilionowa rzesza odbiorców, z różnych środowisk społecznych, na różnych poziomach umysłowych można usatysfakcjonować w sposób radykalny i jednoznaczny jednym programem. Gdybyśmy tych programów posiadali więcej, szansa zaspokojenia gustów wzrosłaby automatycznie. Po prostu — ta audycja ci nie odpowiada, szukasz innej. Ale większość programów telewizyjnych, to sprawa przyszłości, lecz nawet w momencie jej spolenienia, konieczność należy znać schemat powszechnego gustu. Bez jego zbadania, w dalszym ciągu będzie się pisać o TV, że rozwija się żywiołowo, zaś TV w dalszym ciągu będzie zajmować niewygodną pozycję między młotem a kowadłem

KOWALSKI



W ub. tygodniu zamieściliśmy list podpisywany „Zropaczem” lecz wdzienca telewizorów. List ten otrzymaliśmy do wglądu z kolekcji posiadanej przez LOT. Ponieważ został on wydrukowany bez zgody kierownictwa LOT, a ani jego forma, ani treść nie nadają się do polemiki — przesyłamy zainteresowanym za tę publikację.



## MAŁŻEŃSTWO „POD LUPA”

Zawsze uważaliśmy małżeństwo i rodzinę za problem niełatwy, ale dopiero teraz mamy naukowe podstawy, aby tak sądzić. Na I Krajowej Konferencji Psychologii Małżeństwa i Rodziny, która odbyła się w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, naukowcy i specjaliści z całej Polski przez dziesięć godzin radzili, „co z tym fantem zrobić”. Obecnie nie ma w kraju ośrodka, który by zajmował się badaniami i poradnictwem w zakresie życia małżeńskiego i rodzinnego, jest natomiast wiele rodzin, którym porady bardzo by się przydały. Konflikty rodzinne — jak wiemy z własnego doświadczenia, rodzą się na różnym podłożu. Naukowcy starali się na te „podłoża” zwrócić uwagę.

Sławni prof. dr T. Bilikiewicz wskazywał na znaczenie zaburzeń seksualnych w życiu rodzinnym, prof. dr W. Grodzki — na aspekty małżeństwa i rodziny w świetle teorii i praktyki ginekologa, prof. dr K. Dąbrowski na zagadnienia psychologii małżeństwa i rodziny, doc. dr A. Kłosowska na ewolucję typu rodziny współczesnej i wynikające stąd konsekwencje — zmianę współżycia małżeńskiego i rodzinnego, doc. dr W. Mielczarska — na rolę czynników psychologicznych w doborze małżeństwa, prof. dr S. Szer — mówił natomiast o znaczeniu zawarcia i... rozwiązania małżeństwa. Dowiedzieliśmy się także, iż: dziecko w życiu rodzinnym ma doniosłą rolę, wiedza i przygotowanie do życia małżeńskiego nowożeńców są niedostateczne, psychologia w macierzyństwie „ulatwia” macierzyństwo, a układ doświadczeń i przeżyć kobiety „ozieblę” wcale nie należy do przyjemnych. Wiemy także — po konferencji, że poradnictwo małżeńsko-rodzinne napotyka na szereg trudności natury etyczno-prawno-społecznej. Niemniej — jest ono niezbędne i „od zaraz” potrzebne. Mówiąc poważnie — konferencja była potrzebna i projektowane zadania:

- omówienie wyników dotychczas prowadzonych badań i aktualnych poglądów na temat małżeństwa i rodziny;

- powołanie grupy osób zajmujących się tymi zagadnieniami i utworzenie sekcji — ośrodka psychologii rodziny — spełnia. Sam seksuolog, ginekolog, psychiatra, socjolog, prawnik, pediater czy pedagog — niewiele pomoże w momencie groźnych, rodzinnych zaburzeń. Ale reprezentanci tych specjalności — razem mogą wiele zdziałać. Dlatego też sekcja, która nazwano sekcją gamologii (nauka o życiu rodzinnym) skupia wielu specjalistów. Ma ona rozpocząć samodzielne badania nad terapią i psychoterapią zaburzeń wynikających z określonego pojęcia małżeńskiego, ma szkolić lekarzy i innych — z racji swego zawodu stykających się z małżeńsko-rodzinnymi problemami, ma — jak dobrze pójdzie, zorganizować sieć poradni psychologii małżeństwa i rodziny.

Czy w wyniku konferencji i jej postanowień natychmiast spadnie liczba rozwodów — należy wątpić. Niemniej i za sie w oku kreki, kiedy pomyśleć, że może w niedalekiej przyszłości, zamiast przyjaciół i sąsiadów będzie się można wyzalić z rodzinnymi i małżeńskimi kłopotami prawdziwego specowi od tych spraw!

PS. Zagadnienia poruszane w Warszawie są niezwykle skomplikowane i jak najbardziej godne tego, by stały się przedmiotem badań naukowych przez duże „N”. Prosimy wierzyć, że zdaliśmy sobie z tego — aż nadto dobrze, sprawę. Forma w jakiej o tym piszemy, w naszym pojęciu nie umniejsza wagi problemu i zasług organizatorów (m. in. Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej), którym spoko i szczęście rodzinne winny być nagrodą za trud.

Redaguje Zespół \* Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 \* Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- \* Redakcja nie zamyka rekonesansów nie zwraca \* Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” \* Druk: RSW „Prasa” — Łódź: Zwińd 17 \* Zam. 1476 V. A-4

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobylński

## KLUB Z ATRAKCJAMI

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki dostarcza łodzianom licznych atrakcji. Słuchowych (odczyty, spotkania), wzrokowych (wystawy, znajomości), smakowych (kawa, ciastka) i finansowych (książki, obrazy, prasa — do kupienia).

W każdy wtorek i sobotę o godz. 19.15, albo w sali na górze (200 osób), albo w sali na dole (100 osób) odbywają się odczyty: o egzotycznych lub tylko zagranicznych krajach, o literaturze, poezji, sztuce, muzyce, o rocznicach, wydarzeniach międzynarodowych, postawach światopoglądowych. Słuchacze doznają przeżyć intelektualnych za darmo, prelegenci dostarczają im ich w zamian za: (przeważnie) 300—500 zł (niekiedy) 750 zł (rzadko i najszlachetniej) 1.000 zł. I jedni i drudzy reprezentują różne profesje. Wśród prelegentów wielu pisarzy, poetów, dziennikarzy, naukowców z Łodzi i z Polski. Tematy i plakaty propagujące odczyty, bez ironii pasjonujące. Na przykład: Brazylia — z wizytą u Pana Balcera (M. Azembski), Australia (L. Wolanowski), Kongo, Uranda-Urundi, Rodezja (T. Hanusz), Francja a problem algierski (A. Kowalski), Berlin zachodni a pokój (J. Łanecut), Stosunek partii i państwa do kościoła i religii (T. Gąsior), Przemiany współczesnej powieści europejskiej, Rocznica w getcie warszawskim, Strajk powszechny w Łodzi, Armenia: kraj i ludzie, Bułgaria — rozwój kulturalny, Gawędy o książkach itp. itp.

Najbardziej niecodzienny

odczyt, a właściwie wieczór artystyczny, to „Brail otwiera świat”. Część artystyczna — w wykonaniu niewidomych.

Najbardziej aktualny: Francja a problem algierski, Berlin zachodni a pokój. Najbardziej liczny: Hong Kong, 160 słuchaczy. Średnia liczba słuchaczy odczytów oscyluje wokół setki.

Zdarzają się jednak i takie, gdzie jest tylko 40 osób lub 60, wiele jest ze 120 i 150 słuchaczami. Z reguły więcej osób przychodzi na odczyty o ciekawych krajach, mniej na rozważania literacko-poetyczne, za to tych ostatnich słuchają prawdziwie zainteresowani.

Wśród spotkań rekord pobito spotkanie na temat łódzkiej służby zdrowia zorganizowane przez „Dziennik Łódzki” z „ojcem” miasta — mgr E. Kaźmierczakiem — do 300 osób.

Wśród wystaw — najbardziej oglądana wystawa 200 książek 28 łódzkich literatów.

Największym kłopotem jest schwytywanie prelegentów. Niektórzy sami zgłaszają swój akces, wielu — szczególnie specjalistów z dziedziny „podróźniczej” (często są to jednocześnie znawcy zagadnień danego kraju) trzeba wyszukiwać metodą Sherlocka Holmesa. Nie ma bowiem w Polsce takiego miejsca ni ośrodku, gdzie by można się było poinformować kto, skąd i z czym wrócił i co może ciekawego powiedzieć.

PS. Zapomnieliśmy o jeszcze jednej atrakcji: lingwistycznej — 40 kursów języków obcych, własny dorobek naukowy w postaci skryptu z języka angielskiego i „nastu poliglotów”.

## „FAMED 1”

naprawdę pierwsze

Zakłady Wytwórcze Aparatury Elektrycznej „Famed 1” specjalizują się w produkcji lamp operacyjnych. Są one jedynym producentem tego rodzaju sprzętu medycznego w kraju. O tym, że łódzkie lampy są najwyższej jakości, świadczą oferty napływające od zagranicznych kupców.

W okresie 12 lat istnienia łódzka fabryka podniosła plan produkcji o 500 proc., zaś eksport do 20 proc. ogólnej ilości wyrobów.

Coraz to nowe laury zbierają konstruktorzy tych zakładów. Aktualnie np. opracowuje się ultradźwiękowy aparat do terapii oraz inne urządzenia z dziedziny elektroniki medycznej.

Rewelacją nowej techniki jest lampa bezcieniowa z kamerą telewizyjną, przy pomocy której będzie można transmitować operację z sali operacyjnej wprost na sale wykładowe Akademii Medycznej.

Mimo tych niewątpliwych sukcesów fabryka pracuje w niezwykle ciężkich warunkach. Brak magazynu wyrobów gotowych (precyzyjne lampy stoją słożone na korytarzu) brak odpowiedniego magazynu części i artykułów technicznych, a poza tym ciasnota i ogólny zły stan budynku stanowią udrękę pracowników.

W tych warunkach automatyzacja i mechanizacja większości stanowisk roboczych — nie cieszy ich, niestety.

# ODGŁOSY

tygodnia

## MATURZYŚCI 1962

W samych 27 liceach ogólnokształcących Łodzi jest ich 1421. Do sesji kwalifikacyjnej dopuszczono 1535, z czego wynika, że do matury nie dopuszczono 114. Do tej liczby pocących się w tych dniach nad piórnymi zadaniami z języka polskiego i matematyki dochodzi 47 osób, które „oblały” egzamin dojrzałości w roku ubiegłym, a którym przysługuje prawo bez powtarzania nauki w jedenastej klasie składać go powtórnie. 1 czerwca armię łódzkich maturzystów podwoją uczniowie z techników oraz liceów dla pracujących, których dokładna liczba nie jest jeszcze wiadoma.

Kim są tegoroczni maturzyści, jakie mają aspiracje życiowe, zainteresowania, kim chcą być? Oczywiście trudno o wyczerpującą i precyzyjną odpowiedź, jako że przedmiot jest labilny. Z deklaracji, jakie w lutym br. składali wówczas in spe maturzyści, wynika, że prawie jedna trzecia absolwentów klas jedenastych zamierza skończyć edukację na szkole średniej. Z ogólnej liczby 1534 ankietowanych — 1085 wybierało się na studia wyższe. Z tego kierunku uniwersyteckiego upatrzyło sobie 518 osób, politechniki 306 osób, akademie medyczne — 135 osób, wyższe szkoły rolnicze — 23 osoby, wychowania fizycznego — 13 osób, artystyczne (muzyczne, plastyczne, teatralne) — 56 osób, pedagogiczne — 2 osoby. Z kierunków uniwersyteckich największym powodzeniem u wybierających się na studia wyższe cieszyło się prawo (105 chętnych), następnie, filologia polska (76), ekonomika przemysłu (70), socjologia (49), matematyka (47). Znosi się więc na to, że znowu nam przybędzie więcej socjologów niż matematyków, a z danych ogólnych wynika, że kierunki humanistyczne mają wciąż więcej zwolenników niż matematyczno-przyrodnicze. Nie jest to zjawisko jednoznacznie negatywne jeśli zważyć, że uniwersytety kształcą nam kadry nauczycielskie, tak potrzebne ze względu na czekającą nas reformę szkolną. Inne dane zdają się wskazywać, że przedmioty przyrodnicze nie są już w takiej pogardzie jak dawniej. 424 maturzystów wybrało jako piąty przedmiot egzaminu dojrzałości (obowiązują egzaminy pisemne z języka polskiego i matematyki i ustne z historii i wiadomości o Polsce współczesnej oraz piąty przedmiot również obowiązkowy, ale do wyboru), tytuł geografii, 225 biologii, 116 chemii. Zdecydowana większość wolała nie wybierać jako piątego przedmiotu naturalnego języków obcych. O tym, że wzrosło jednak poszanowanie również dla języków obcych świadczy fakt, że 6 osób wybrało je jako szósty nadobowiązkowy przedmiot.

W porównaniu z rocznikiem maturzystów 1961 i innymi, tegoroczni nie zdradzają owczego pędu na studia medyczne. W zeszłym roku spośród 939 maturzystów wybierających się na studia wyższe na Akademii Medycznej kierowało się 168, w roku bieżącym wybiera się 155 spośród 1085. W dalszym ciągu nie cieszą się żadnym wzięciem wyższe studia rolnicze, na które deklarują się zaledwie 23 osoby. Ale też struktura społeczna grupy tegorocznych maturzystów jest wymowna. 417 pochodzi z rodzin robotniczych, 22 z chłopskich, a reszta — 646 z inteligentnych i innych.

## „MECENAT”

W łódzkich szkołach średnich (typu stacjonarnego) kształci się blisko 40 tysięcy młodzieży. Ponad 36 tysięcy uczniów liczy sobie od 14 do 17 lat. Właśnie dla tej grupy wieku sporządzono statystykę z punktu widzenia stałego miejsca zamieszkania. Okazało się, że wśród tych 36 tysięcy jest tylko 3.100 uczniów spoza Łodzi. Stanowi to ledwie około 9 proc.

Np. wśród 12 tysięcy uczniów liceów ogólnokształcących jest raptem 368 zamiejscowych. W technikach młodzież zamiejscowa stanowi tylko 15 proc.

A przecież Łódź, wielka stolica regionu, posiada wiele różnych szkół, których brak w małych ośrodkach. Skąd więc bierze się owa bariera, która młodzieży z miasteczek i wsi zagraża drogę do nauki? Może brak internatów w Łodzi, może stagnacja prowincji i brak ambicji u zamieszkałej tam młodzieży?

Przyczyn warto w każdym razie poszukać, bo — jak dotychczas — „mecenat” stolicy wobec młodych ludzi z prowincji przynosi wyniki zgoła oplatane.

## KORESPONDENCJA

KOCHANE „ODGŁOSY”

Oto, co się nazywa szybką i właściwą reakcją na prasową krytykę. Jeszcze mieszkańcy Starego Rynku i okolic nie zdążyli przeczytać wstrząsającego artykułu Ewy Ostrowskiej „Szkoda ryżego Henka” a już zamknięto budkę, w której stary deprawator rozpijał ryżych Henków piwem (ciepłym). W ten sposób w czasie niedzielnego kiermaszu książek na tymże Rynku nie usłyszeliśmy się ani piwa ani lemoniady, a dzieci z braku lizaka musiały się również obejść samą kulturą. Wczoraj wreszcie, przy tłumach publiczności, wprowadzono szpetną budkę. Jest pięknie — nie i nie! prócz „ryżych Henków” nie specji placu. Bo budka „wybyła”, a chuligani zostali. Obecnie w naszej okolicy łatwiej będzie dostać fangę niż piwo. Bo najbliższa budka na Północnej, a nienaruszony „ryż Heniek” pod bokiem. Czy nie szkoda szpetnej budki?

TADEUSZ MARKOWSKI

Łódź, 8. V. 1962 r.